

Tropami Federica. Część II.



Federico Garcia Lorca

Florian Śmieja

Zmysłowość jest zasadniczą cechą poezji Lorci, prawdziwego syna Andaluzji. Ale nie jest to erotyzm wyuzdany czy swoboda fizyczna, ale raczej przerażająca, bezwzględna siła pożądania. W literaturze hiszpańskiej nic to nowego. Źródła można szukać we wczesnym arcydziele "Libro de buen amor". Jeszcze pełniej wypadła zmysłowa tragedia "La Celestina". Nie brak cielesności u Lope de Vegi, w powieściach łośrzykowskich, u Góngory, Queveda. U Tirsa de Molina zabłyśnie w transcendentalnym świetle w sztuce "El burlador de Sevilla" i stworzy Don Juana, wejdzie w fazę romantyczno-mistyczną z Esproncedą, Larrą i Becquerem. Wielkim jej eksponentem przed Lorcą był Ruben Dario.

U Lorci jest ona czysto cielesna, gwałtowna jak huragan, jak rozhukana rzeka podziemna. Niemniej, jest naturalna i spontaniczna. Wypowiada ją poeta ze szczerością łącząc ją z przesłankami teologicznymi. Stąd nierozzerwalność trzech motywów: śmierci, życia zmysłowego i religii. W założeniach poeta nie odbiega od

tradycyjnych zasad: honoru mężczyzny i dziewictwa kobiety. Jeżeli w niewydanym zbiorze "El divan del Tamarit" opiewana miłość jest inna, odcieleśniona, w dużej mierze należy to przypisać platonizmowi poetów arabskich południowej Hiszpanii.

Pięknym, przykładem platonizmu jest kasyda o czystości Abenfaracha z Jaen (+876). Między innymi mówi on: "I tak noc z nią spędziłem jak spragniony młody wielbłąd, któremu uzda ssać nie pozwala". A dalej: "Bo nie jestem jak zwierzęta rozwiązłe, które ogrody biorą za pastwisko".



Śmierć jest obsesją Hiszpanii. Istnieje powiedzenie, że umarły jest w Hiszpanii bardziej umarły, niż gdzie indziej. Wybitny poeta Antonio Machado w elegii na śmierć Lorci powiedział:

Widziano go, jak szedł z nią sam

Nie lękając się jej kosy

Nie ma w tym ani odrobiny licencji poetyckiej. Lorca mając dziewiętnaście lat pod wpływem Whitmana pisał:

Krew moja niech na polu będzie

Różowym i słodkim mulem

W który swe motyki wbiją

Utrudzeni wieśniacy

Tak się miało stać. Lecz zanim śmierć go zabrała, poeta zmagał się z nią niestrudzenie. Poświadczenie znajdziemy w jego dziełach na każdym kroku, życie u niego nie istnieje bez odniesienia do śmierci.

Nie ma człowieka, który by przy pocałunku

Nie czuł uśmiechu ludzi bez twarzy

Lorca widzi, jak wszystko, co żyje, zmierza ze spuszczoną głową do bramy śmierci. Wzdryga się przed jej okropną rzeczywistością. Jego Cygan chce umrzeć na żelaznym łóżku w białych prześcieradłach. Najpełniej wypowie się w trenie na śmierć swojego przyjaciela toreadora. Z okrzykiem "nie chcę na nią patrzeć" pokazuje nam krew na piasku i prawie że lubuje się w okrutnym rozpatrywaniu symptomów śmierci:

Teraz mech i trawa

Wprawnymi palcami otwierają

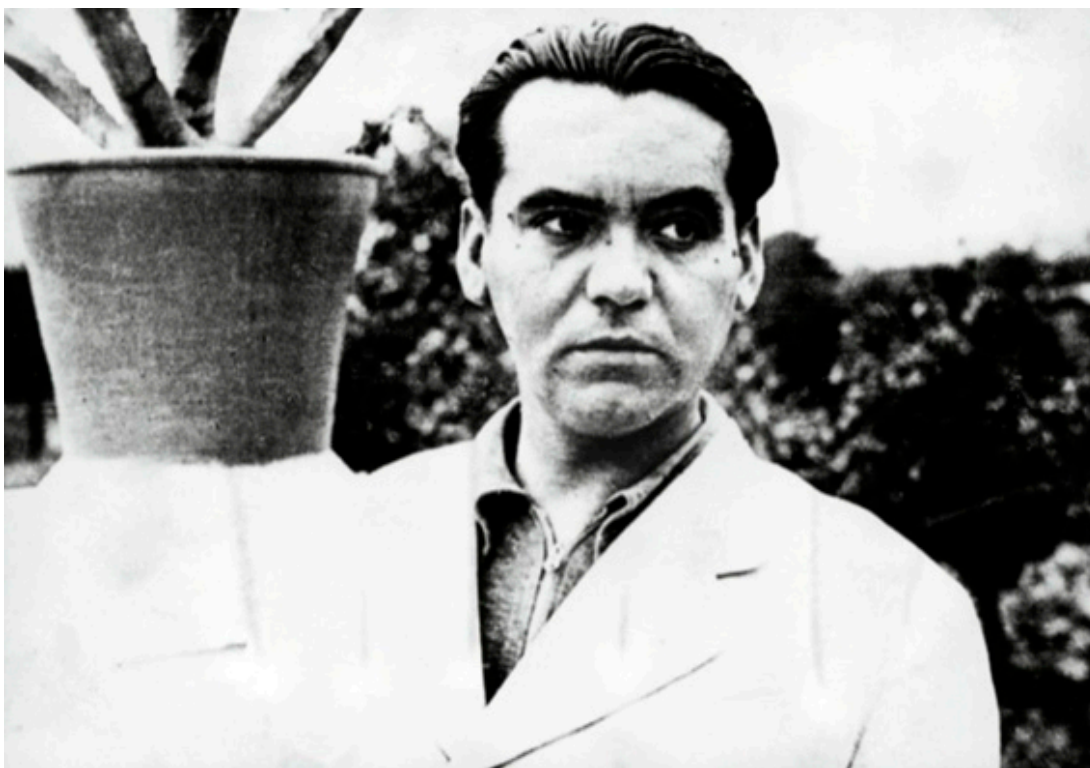
Kwiat jego czaszki.

Podobne cechy nosi opis śmierci św. Eulalii. Patrząc na wystawione ciało przyjaciela wzywa mężów nieustraszonych, aby przybyli popatrzeć na zwłoki, by mogli wskazać wyjście dla junaka związanego przez śmierć. Wyjścia nie ma: trzeba się do śmierci przyzwyczaić.

Skoro śmierć niszczy życie, a ująć nie sposób, należy dopracować się lekceważenia, na jakie śmierć zasługuje. W ten sposób można jej narzucić swoją wolę. Przypomina to Rilkego. Wiele zbieżności odkrywamy również z rozmyślaniami Unamuna wyłożonym w "Tragicznym sensie życia".

R.M. (znajomy poety, jeden z wykładowców Floriana Śmieji na King's College w

Londynie, przyp. red.) nadal pisze, że Lorca nieraz po sukcesach swoich w przyjacielskich rozmowach dawał wyraz obsesji śmierci i smutku człowieczych spraw. Śmierć jest obsesją narodu hiszpańskiego. Wystarczy myślą sięgnąć wstecz do średniowiecza, do teatru Złotego Wieku, do malowania śmierci przez Kościół, do apoteozy gwałtownej śmierci z jej jakby mistycznym zapachem krwi.: *me muero porque no muero*. Lorca postanowił żyć patrząc śmierci ustawicznie w oczy i przetrwać stawszy się częścią trwającego świata. To zapamiętałe pragnienie przetrwania widział w miłości matek do dzieci. Często wprowadza kobiety do swych sztuk, ale nie ma dla nich zwycięstwa. Trymfuje śmierć i klęska.



F. G. Lorca, 1935 r., fot. New Yorker.

Poeta wychowany w atmosferze katolickiej nigdzie w swej literackiej spuściźnie nie zostawił śladu wiary w zmartwychwstanie i życie chwalebne. Samotnie zmagał się ze śmiercią. Strachu nie próbował nawet łagodzić religijną pociecha. Jest adwokatem śmierci nieustraszonej. Człowiek potrafi umrzeć tak, że zabija własną śmierć. Taki człowiek musi prowadzić życie czyste i prawe.

Lorca wyrósł w tradycji andaluzyjskiego katolicyzmu. Jako dziecko brał czynny udział w życiu religijnym swego regionu. Wiemy, że lubił chodzić w procesjach, że malował

Madonny, że budował ołtarze i “odprawiał” nabożeństwa. Już w młodzieńczych utworach zмага się z tajemnicami życia wołając:

Powiedz mi Panie,

Boże mój

Zali nas pogrążysz w ciemności

Przepaści?

Alboż jesteście ślepymi ptakami

Bez gniazd?

Element religijny jest jakimś prostym uczuciem, nieokreślonym, ale czystym. Często będą to reminiscencje z lat dziecińczych, opis figur świętych, archaniołów, malutkiego Dzieciątka. Już w 1918 pisze tak:

Czymże jest święty chrzest

Jeżeli nie Bogiem pod postacią wody

Kiedy nam czoło namaszcza

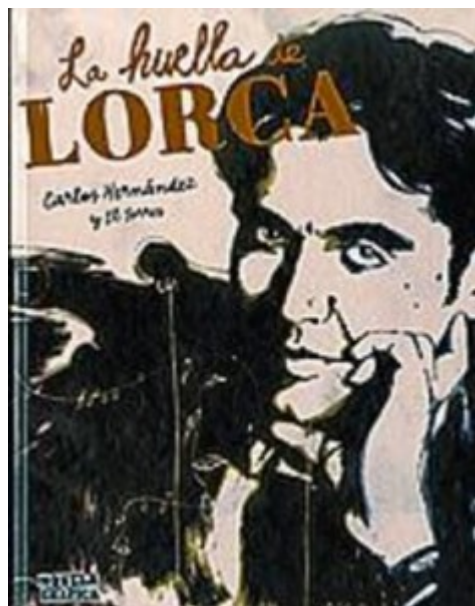
Swoją krwią łaski

Z wiersza jego pisanego rok później bije obawa przed złem, które wbrew własnej woli rodzi się w duszy. “Złe jest me serce, Panie, czuję nieugaszony ogień grzechu”. Kłosa zboża i posrebrzone pagórki, to duch Chrystus, który jest pokarmem w życiu i w śmierci. W innym wierszu w ujmujących słowach mówi, że pójdzie daleko aż po gwiazdy do Chrystusa i poprosi Go, by mu wrócił duszę pełną legend, czapkę z piórem i drewnianą szabelkę.

W “Romancero Gitano” poeta wraca do rodzinnej Andaluzji. Motywy religijne – częste – będą więc nosiły piętno tej ziemi. Sięga z wdziękiem do tradycyjnych obrzędów i pobożności bractw religijnych. Opisuje sceny i komponuje pieśni na wzór

śpiewanych podczas procesji Wielkiego Tygodnia. Wtedy bowiem stowarzyszenia religijne oprowadzają swoich patronów po ulicach rywalizując między sobą w wyszukanych komplementach. Często w gorączce uwielbienia dla swojego świętego nie szczędzą słów cierpkich dla rywali lub co najmniej okazują im niechęć. Bywa, że dochodzi do starć na świece i drewnianą broń "rzymskich" żołnierzy. O archaniołach będzie mówił jak galant, święta Rodzina jest na cygańskim jarmarku. Zgubiła swoje kastaniety. Matka Boska nosi suknie burmistrzowej i opiekuje się sierotami po zastrzelonych Cyganach. W historycznej romancy podejmuje znany temat męczeństwa św. Eulalii z Meridy. Spod jego pióra wyszedł poemat na wskroś oryginalny, o jaskrawej plastyczności, śmiałych obrazach, zuchwały i okrutny. Wydaje się czytelnikowi, że patrzy na rozkrwawione obrazy malarzy średniowiecznych lub na galerię obrazów w kartuzji w Granadzie.

Myśl religijna Lorci najwyraźniej występuje w "Odzie do Najświętszego Sakramentu". Cała kwintesencja sentymentu poety jest tam obecna. W żadnym innym wierszu o tematyce lub aluzjach religijnych nie znajdziemy tyle szczerego ciepła i wyrazu matczynej czułości. Chrystus poety to Dzieciątko "zziajane i nagie, ścigane przez sześć roślących byczków". W chaosie świata widzi Sakrament Ołtarza jako symbol pokoju i porządku. "Świecie - woła - już masz cel, niezmienny Sakrament miłości i dyscypliny".



Poeta nie był wrogiem religii. Utworów jego nie sposób zrozumieć bez uwzględnienia katolickiego, choć może dalekiego, podłoża. Takich sformułowań jak "krzyż (cel ostateczny drogi)", "człowiek - to anioł upadły, biedna i gorzka istota" czy "Wezwij Marię, bo umierasz" nie brak. Znajdziemy z drugiej strony stosunek krytyczny do katolicyzmu hiszpańskiego.

Religia często u Lorci łączy się ze zmysłowością. W Hiszpanii czystość utożsamia się z świętością. Rygorystyczne posunięcia Kościoła powodują reakcje i nieraz prowadzą do wynaturzeń. Dość powiedzieć, że powstaje pewnego rodzaju erotyzm religijny, ubieranie figur świętych, kontemplacja wizerunków, spotyka się typ

kobiety, starej panny, która chodząc koło dewocjonaliów zatruwa ciągłymi podejrzeniami życie innym.

Choć więc poezje Lorci o tematyce czy tle religijnym reprezentują myśl ortodoksyjną, daje się w nich wyczuć zbuntowaną siłę, potracanie o wykrzywione, skryte erotyczne pierwiastki pod pozorem religii.

Hiszpania jest narodem poetyckim. Poezja żyje w narodzie, a nie jest tylko okrasą akademii albo przedmiotem snobizmu. Jest nierozzerwalna z życiem, wspólna całemu narodowi, prawdziwa arka przymierza. W takim klimacie wiersze Lorci są przystępne, ale trudne dla czytelników nie znających podłoża hiszpańskiego i niezliczonych odnośników, aluzji, reminiscencji, skrótów poetyckich i węzłów skojarzeniowych. To osadzenie poety w języku ludowym stawia tłumacza w sytuacji kłopotliwej. Jeśli uwzględnimy bezpłodne próby "wytłumaczenia" passusów, które albo są dwuznaczne, albo sensu nie dają, otrzymamy pełny obraz niewdzięcznego trudu, jakim jest tłumaczenie Lorci.

Jaka jest pozycja Lorci po latach? Dzięki swym przyjaciołom i wielbicielom zyskał rozgłos światowy. Spuściznę pośmiertną wydrukowano, poezje i dramaty przełożono na wszystkie ważniejsze języki świata. Zaczęły się pojawiać monografie. Świat złożył hołd wielkiemu poecie Andaluzji. Lud hiszpański nadal recytuje i śpiewa jego ballady. Zamordowanie poety w czasie wybuchu rebelii ułatwiło komunistom wynoszenie poety na piedestał ideowego męczennika. Jego ludzką miłość uciśnionych i prześladowanych pomalowano na czerwono, jak gdyby nie była ona naturalnym dążeniem człowieka. Opędzał się Lorca jak mógł przed partyjnym stempelkiem. Znamienne jest jego oświadczenie: jestem anarchistą, komunistą, liberałem katolickim, tradycjonalistą i monarchistą.

W Polsce o tym się zapomina. Nie pozbawiona jest ironii wypowiedź o braku tematyki republikańskiej w twórczości Lorci z lat trzydziestych:

...Próżno byśmy szukali w jego sztukach bezpośredniego odbicia współczesnych wydarzeń. Jak wiadomo, kręte są drogi, jakimi aktualność przenika do dzieła sztuki.

Natomiast nadal mówi dobitnie, że "żaden protest przeciw używaniu nazwiska Lorci dla celów propagandowych nie jest dosyć ostry". Stanowczo potępia krytyków, którzy w poecie widzą niebezpiecznego agitatora, nadużywającego talentu celem zbałamucenia mas. Na dowód przytacza zdarzenie, które miało miejsce w 1935 r. Wystawienie mieszczańskiej sztuki "Panna Rosita" w Barcelonie dała pretekst do politycznych demonstracji. Dowiedziawszy się o tym poeta był oburzony: "Mają mnie za głupca, czy co? Z mojej 'Rosity' robią politykę? Ja na to nie pozwolę". Był poetą ludowym, ale nie w sensie klasowym, był poetą całego narodu hiszpańskiego.

Nie ulega już dziś najmniejszej wątpliwości, że jego romances tkwią dobrze pod hiszpańską "strzechą". Nic ich stamtąd nie wyruguje. Natomiast różne grupy purystów zaczęły podważać ich wartość. Poczęto jego poezję oskarżać o łatwe "clichés", o schlebianie smakowi (czy jego brakowi) ludu, o pogoń za egzotyką. Jakby świat cygański był szopką czy jarmarcznym kramem dla turystów. Lorca znał Cyganów, jak żaden inny poeta i uważał ich świat za nieodłączną część Andaluzji. To prawda, że szczególnie upodobał sobie pewne obrazy poetyckie. Przeplatają one całą jego poezję. Ale często są ciemne, trudne, niezrozumiałe. Nie one więc są kluczem do jego popularności, ale wątki o zazdrości, honorze, namiętności, o śmierci i o walce. Są one mocno osadzone w poetyckiej tradycji narodu, pisane w ulubionych rytmach, których kadencje każdemu Hiszpanowi tkwią we krwi. Popularność nie świadczy jeszcze o wartości dzieła sztuki, wszakże dzieła największe nigdy jej pozbawione nie były.

Jeśli Lorca spotkał się z zazdrosną krytyką przedstawicieli „współczesnych literackich herezji”, od których trzymał się z dala, to nieraz zbierał szczodre oceny przodujących krytyków. Damaso Alonso widzi w nim uosobienie poety hiszpańskiego. Niedwuznacznie przypisuje mu intuicyjne wyczucie form ludowych i tradycyjnych oraz absolutną wierność psychologii narodowej i indywidualnej charakterów. W jego poezji znajduje krytyk duszę Hiszpanii, andaluzyjską, cygańską, romańską, skoncentrowaną, zapach i światło i rytm. Oto raz jeszcze Hiszpania się wypowiedziała. Od czasów Lope de Vegi nie było takiego poety.



Salvador Dali i Federico Garcia Lorca.

W 1927 roku w Barcelonie w dekoracjach Salvadora Dali, Lorca wystawił sztukę "Mariana Pineda" bez powodzenia. Brak sukcesu uzmysłowił mu potrzebę zrezygnowania z tematów historycznych ubranych w romantyczną retorykę, a szukania współczesności i prostoty. Doświadczony psychicznego szoku w zderzeniu z wulgarnością architektury Nowego Jorku i nieludzkością amerykańskiej cywilizacji, uszedł w cudowną farsę pisząc dwuaktową komedię "La zapatera prodigiosa". Wrócił w niej do andaluzyjskiej tradycji ludowej i nakreślił jedną z niezapomnianych postaci kobiecych, którymi zaludni przyszłe sztuki.

Mnie ta czarująca szewcowa również ujęła przekornym wdziękiem i tanecznym rytmem. Mój przekład pod tytułem "Przedziwna szewcowa" acz dokonany w Londynie miał szczęście doczekać się inscenizacji. Wystawiła go z wielkim ferworem amatorska grupa "Pro Arte" pod entuzjastycznym kierownictwem oddanej i energicznej Olgi Żeromskiej. Dzięki niej publiczność teatralna polskiego Londynu zobaczyła ambitne współczesne sztuki nieraz świeżo przełożone dla Olgi. Myślę tu

m.in. o przekładzie irlandzkiej sztuki Synge'a dokonanej przez Wojciecha Gniatczyńskiego.

"Szewcową" w jej inscenizacji i reżyserii wystawiono dwanaście razy. Jan Bielatowicz poświęcił prezentacji sztuki obszerną recenzję, której kluczowym zdaniem było stwierdzenie:

Wystawienie „Przedziwnej szewcowej” Lorci można uważać za prawdziwe teatralne zdarzenie, mimo wszystkich i licznych błędów.

Za jeden z nich uważał włączenie do sztuki tańców hiszpańskich "rozrywając tym ich ciągłość i odwracając uwagę od cienkiego przedziwa farsy-moralitetu". Miał też zastrzeżenie do tytułu mojego przekładu oraz do jego zbyt małej giętkości i braku śmiałości, obawy przed przesadnym spolszczeniem.

Mimo umiejscowienia komedii w Andaluzji sam Lorca zapewniał, że

koloryt sztuki jest przypadkowy, a nie zasadniczy...Ja sam mogłem tę alegorię umieścić wśród Eskimosów. Słowa i język mogą być andaluzyjskie, ale nie treść.

A także:

*Szewcowa oczywiście nie jest jakąś szczególną kobietą, ale wszystkimi kobietami",
"Wszyscy widzowie mają w sobie coś z Szewcowej.*

Lorce dramaturgowi największy rozgłos przyniósł tryptyk wiejskich dramatów. W 1933 roku powstało "Krwawe wesele" (część tekstu w paryskiej "Kulturze" wydrukował Józef Łobodowski w 1948 roku). Ta poetycka sztuka w trzech aktach rozgrywa się w czasie wesela na wsi. Panna Młoda ucieka z dawnym narzeczoną, a w czasie pogoni obaj rywale giną w walce na noże. Scena ostatnia pełna liryki przenosi osobistą tragedię na ogólnoludzkie wyżyny pokazując, że śmierć należy do życia:

Sprawiedliwie było.

Na złoty kwiat, brudny piach

Wstawienie chórów, zawiła symbolika spowalniają akcję, lecz ta ambitna sztuka zaprowadzi do kolejnej, oszczędniejszej już i bardziej harmonijnie skomponowanej akcji "Bezpłodnej" (*Yerma*). Wierna mężatka nie doczekawszy się dziecka, morduje obojętnego męża.

W końcu Lorca napisał "Dom Berrnardy Alba" o niepomiernej sile dramatycznej i najdalej posuniętej oszczędności środków. Wystawienia tej sztuki już się nie doczekał.



Albaicin, Granada

Ostatniego wieczoru mojego pierwszego pobytu w Granadzie szukałem w ciemności drogi na wzgórze Albaicin. W towarzystwie znudzonego Anglika i francuskiego małżeństwa, mądrali o nabitym, trzosie i wystrojonej ignorancji, przyglądałem się tańcom i słuchałem muzyki Cyganów. Bielusienka grota obwieszona miedzianymi sprzętami i fotografiami stała się parna od bujnego śpiewania i wytupywania rytmów. Serie kastanietów szyły powietrze niemiłosiernie, ciała poruszały się drapieżnie.

Schodziłem z Albaicin ciemnym korytem zawodzeń gitary dzierganej namiętymi

palcami. Myślałem o Lorce. Tu właśnie profesor Trend z Cambridge w 1919 roku poznał poetę podczas fiesty muzyki i tańca i uległ czarowi jego gorącego zmaconego głosu. Po duchowej biesiadzie o czwartej nad ranem Trend schodził z Albaicin z Lorcą pod ramieniem. Ja szedłem sam.

O Antonio Torres Heredia.

Któż to pozbawił cię życia

W pobliżu Guadalquiviru?

Śmiem wierzyć, że zelanci w Viznar uszanowali godność poety i wyświadczyli mu ostatnią hiszpańską przysługę pozwalając zapalić papierosa, by w ten sposób mógł okazać pogardę dla śmierci i ducha, którego padał ofiarą. Duch ten nie zwiastował nadejścia "królestwa kłosu zboża".

Ale Lorca przewidująco pisał również o trzech tysiącach ludzi, którzy uzbrojeni w połyskujące noże przyszli zamordować słowika.

Miłość po szkocku. Australijskie początki. Nowy Rok 1968.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecińczych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodzieńczych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe

życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.



Fremantle, ulica, lata 60., fot. pinterest.com

Anna Habryn

Rozdział 3

Mary stała przy relingu z Mandy na rękach i patrzyła w dół. Gdzieś tam, na nabrzeżu, w sporym tłumie oczekujących, byli jej bliscy. Nie mogła odróżnić żadnej

twarży. Poranne słońce było zbyt jaskrawe. Statek stał już od wczorajszego wieczora przycumowany do nabrzeża, ale dopiero teraz opuszczono trapy i na pokładach zaczęła się bieganina.

Pasażerowie już od kilku dni przejawiali pewne zdenerwowanie i rozdrażnienie. W miarę zbliżania się do Fremantle zaczynały w nich kiełkować jakieś wątpliwości, bo słyszało się zapewnienia, że po odpracowaniu dwóch lat kontraktu na pewno wrócą do domu, do Anglii czy Szkocji.

A teraz cały tłum stał i czekał, przestępując z nogi na nogę. Głośniki jeszcze raz przypominały, jakie dokumenty należy przygotować, w jakim kierunku się udać. Grantowie stali z boku, nie spieszyli się.

Bill krzyknął:

- Jest La-la! - i zaczął machać ręką. Mary wyteżyła wzrok. Tak, chyba matka, w białym kapeluszu. Obok drugi, podobny - Sandra! Jest i Jan. Poczula się szczęśliwa. Tam, na tej ziemi, czeka na nich rodzina, najbliżsi, dom. Wreszcie są znowu razem. (...)

Pierwszym zaskoczeniem było zimno. Kurczyli się w swoich wiosennych płaszczkach. Mary myślała: *dobrze, że zapakowałam wszystkie swetry.*

Drugie zaskoczenie: dom matki i Jana był ciasny. Miał dwie duże sypialnie i mały pokój urządzone od tyłu, na werandzie wychodzącej na ogród. Był na pewno za mały dla dziewięciu osób. Po uroczystym obiedzie Sandra wyniosła się spać do koleżanki i matka była z tego powodu wyraźnie niezadowolona.

- Nie przejmuj się - powiedziała siostra do Mary - nie musi ci być przykro. Bardzo się cieszę, że jesteście. A spanie u koleżanki to dodatkowa atrakcja - i roześmiała się szczerze. (...)

Rano obudziły ją odgłosy ostrożnej krzątaczki. Wciągnęła na siebie szlafrok i kuląc się z zimna powędrowała do kuchni. Jan szykował sobie kanapki do pracy. Za oknem było zaledwie szaro. Uśmiechnął się do niej:

- Jak się spało? Woda gotowana, zrób sobie śniadanie. Ja już muszę iść, bo mi

ucieknie autobus. (...)

Nasypała sobie kawy, nalała wody do kubka i po wyjściu Jana siadła przy stole. W kuchni było dosyć ciepło. Nie chciała nikogo budzić o tej szarej godzinie. (...)

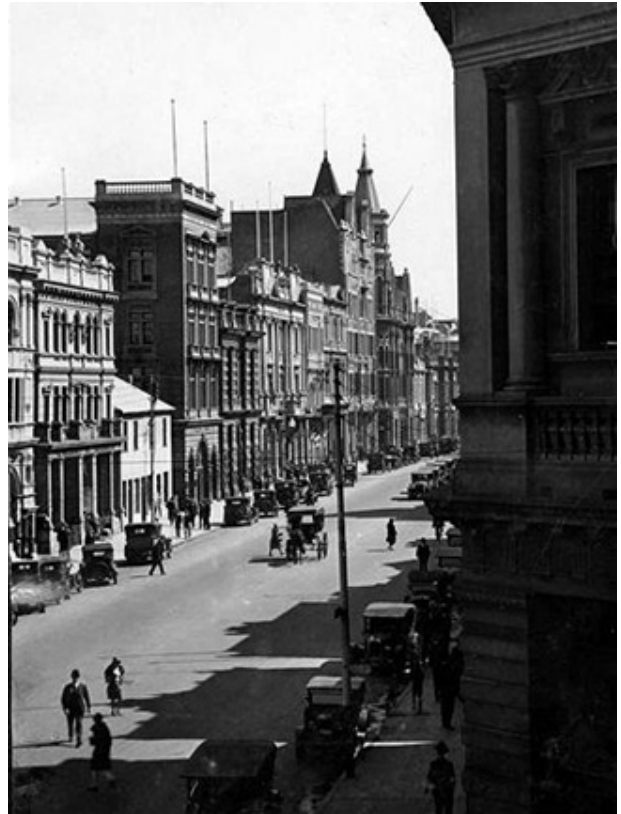
Dzieci pojawiły się w kuchni dość wcześnie, głodne i gotowe ruszać na zwiedzanie okolicy. Mary poszperała w szafkach i w lodówce, zrobiła im śniadanie, ostrzegła, żeby nie zapuszczali się za daleko:

- Te ulice są wszystkie do siebie podobne. Uważajcie, żeby nie zabłądzić. Pamiętacie nasz adres?

Pamiętali i cała trójka jej synów ruszyła z hałasem na podbój Australii. (...)

Słońce świeciło pięknie i zrobiło się już zupełnie ciepło. W ogrodzie stał mały blaszany domek z okienkiem w drzwiach, pod wielkim drzewem. Westchnęła: wanny nie było. Z drugiej połowy tylnej werandy zrobiono pralnię, był tam też prysznic, a wodę grzało się w metalowym cylindrycznym zbiorniku, pod którym palono drewnem. Trzeba napalić. Było oczywiste, że Mary przejmuje obowiązki gospodyni: będzie palić, gotować, sprzątać. Jak w dzieciństwie?

Charlie pojawił się drugiego dnia, bo był zapracowany. Z czułością powitał siostrę i szwagra, obiecał, że w następną sobotę zabierze ich do siebie. Lily nie może się doczekać, żeby ich znowu zobaczyć, ale dzieci są trochę chore... Na razie Charlie przyjechał zabrać ich na zwiedzanie miasta. Przyjechał swoim nowym dużym Chryslerem i chłopcy byli zafascynowani maszyną - i wujkiem, którego prawie nie pamiętali. (...)



Perth, ulica St. George.

Samo miasto nie zrobiło na nich wielkiego wrażenia. Przejechali główną ulicą *St. George`s Tce* czyli „Świętego Jerzego”, między kilkupiętrowymi biurowcami. Niektóre pamiętały czasy królowej Wiktorii i zachowały swój angielski styl. Za niewysokim murem, w pięknym ogrodzie krył się – widoczny lepiej od strony rzeki – stylowy, choć niewielki pałac gubernatora. Obok niego, w parku, który wziął swą nazwę *High Court Gardens* od surowych czerwonych budynków Sądu Najwyższego, budował się nowoczesny, betonowy budynek Rady Miejskiej. Obok były banki, hotele, wielka drukarnia i redakcja miejscowej gazety, wszystko na jednej ulicy. U jej końca, na wzgórzu stał podłużny, szary, dwu- czy trzypiętrowy budynek parlamentu, a od niego w stronę rzeki rozciągał się *Kings Park*, z aleją wielkich eukaliptusów, z których każdy posadzony został na pamiątkę żołnierza poległego na wojnie. Była to długa aleja, a każde drzewo miało tabliczkę z imieniem bohatera. To zrobiło na wszystkich wrażenie, choć nie przywoływało smutku cmentarzy.

Widok z urwistego brzegu na szeroko rozlane wody, gdzie łączyły się dwie rzeki, Swan i Canning, szerokim korytem uchodzące wspólnie do oceanu, gdzieś za horyzontem, we Fremantle, ten widok zaparł im dech w piersiach. Na błękitnej

wodzie bielity się żagle jachtów. Siedli na trawie i patrzyli, zachwyceni. Dusza Mary śpiewała: oto Australia! Szeroki, wielki, wspaniały kraj. Trzeba tylko znaleźć w nim swoje miejsce.

Najprędzej udało się to chłopcom. Poszli do szkoły razem, oczywiście do innych klas, ale w tym samym kompleksie barakowych budynków ze wspólnym boiskiem, gdzie spotykali się na każdej przerwie. Na lunch wracali do domu: mieli godzinę przerwy, a szkoła była na sąsiedniej ulicy. Połykali szybko, co Mary przygotowała - i zdawali sprawozdanie ze szkolnych wydarzeń.

Pierwsze tygodnie były dla nich ciężkie. Poszli do szkoły w swoich ubraniach przywiezionych ze Szkocji. Natychmiast znaleźli się pod ostrzałem szyderstw. Wyśmiewano ich buty, krzyczano za nimi: „*pommy!*” - każdy przybysz z Anglii był przezywany „*pommy*”. Dopiero, kiedy we trzech stawili czoła prześmiewcom i rozbili kilka nosów, zaakceptowano ich wyjaśnienia, że oni nie są „*pommies*”, oni są ze Szkocji. (...)

Po kilku dniach chłopcy wyrzucili swoje „angielskie” buty i zaczęli nosić „japonki” jak inni koledzy z klasy. Krótkie popelinowe spodenki i trykotowe koszulki zastąpiły te - tak porządnie wyglądające, zdaniem Mary - blezery, noszone przez uczniów w Auchtertool. Jej synowie zaczęli domagać się kanapek ze słoną, brązową mazią zwaną *Vegemite* albo z masłem orzechowym, a po kilku tygodniach zaczęli przejmować specyficzny sposób australijskiego artykułowania samogłosek, tę wymowę bezskutecznie tępioną przez nauczycieli. A także - wyśmiewaną pogardliwie przez La-la. Babka i ojciec byli tu jednego zdania: australijski akcent jest znakiem australijskiej głupoty. Alan, najmłodszy z synów Mary i ulubieniec babki od wczesnego dzieciństwa, był skłonny bezkrytycznie akceptować jej sądy, ale dwaj starsi, Willie i Brian, ignorowali krytykę, co drażniło babkę i ojca jeszcze bardziej. Mary zaś z niepokojem obserwowała rodzący się pierwszy konflikt rodzinny. (...) Kiedy po trzech tygodniach Grantowie wynajęli niedaleko domek dla siebie - było już za późno.

Szukanie domu do wynajęcia było koszmarem. (...) Zaczynało się od żądania referencji. Najlepiej - listu od pracodawcy. Gordon dopiero szukał pracy.

Po kilku tygodniach stukania do drzwi, znaleźli coś do wynajęcia w pobliżu.

Właściciel był Włochem. Obejrzał ich krytycznie i po konferencji z żoną zgodził się wynająć im dom za 20 dolarów na tydzień. (...)

Dom był potwornie brzydki. „Styl śródziemnomorski” – zaznaczył dumnie właściciel otwierając im drzwi. Była to kwadratowa bryła z płaskim dachem, otynkowana na różowo. Wewnątrz były dwie sypialnie, jadalnia, salonik, łazienka, toaleta, kuchnia i *sleep-out*, czyli pokój na tylnej werandzie, bardzo w australijskim guście. Wszystko było wymalowane jaskrawymi kolorami: żółte ściany, zielone szafki w kuchni, ubikacja fioletowo - bordowa!

Z tyłu domu rozpościerał się „ogród”: pełna kurzu pustynia, ogrodzona na wysokość człowieka szarymi płotami z falistych płyt azbestowych. Na środku stało samotne drzewo, bliżej domu „karuzela” do suszenia bielizny, typowy australijski wynalazek, z wyglądu przypominający rozpięty parasol bez pokrycia.

W samą porę przypomniało jej się, jak ktoś kiedyś chwalił jej poczynania jako młodej gospodyni: *Ty potrafiłabyś stworzyć dom nawet w namiocie*. Ha, trzeba będzie się postarać. (...)

Przeprowadzili się następnego dnia. Podstawowe meble kupili w sklepie z używanymi gratami, które w Australii elegancko nazywa się „antykami”. Mary starała się przymknąć oczy na ich brzydotę, ale wiedziała, że nie da się ich pokochać. Ich dom w Szkocji był wytworny i luksusowy w porównaniu z tym, co próbowała stworzyć swojej rodzinie w nowym kraju, w tym wymarzonym kraju przepysznych ogrodów z basenami do pływania, w tym kraju z broszur reklamowych drukowanych na błyszczącym papierze. Nie było miejsca na marzenia, trzeba było starać się przeżyć. (...)

Szybko poznali swoich sąsiadów. Z lewej strony mieszkali Holendrzy, którzy tuż po wojnie przyjechali do Australii prosto z obozu jenieckiego w Niemczech. Byli stosunkowo dobrze sytuowani i mieli dwóch prawie dorosłych synów, kulturalnych, miłych chłopców, dobrze wychowanych i ciężko pracujących. Mary patrzyła czasem na nich i miała nadzieję, że jej synowie za kilka lat też będą tacy.

Naprzeciwko mieszkali Grecy. Czasem uśmiechali się do Mary i zagadywali do niej, ale nie mogła zrozumieć ani słowa. Uśmiechała się więc też i machała przyjaźnie

ręką. Ich dom przypominał wiejski domek z ogródkiem pełnym kwiatów. Wszystko tam było czysto i wypielęgnowane. Mary zauważyła, że nigdy nie odzywali się do swoich sąsiadów, tych właśnie Włochów, którzy byli właścicielami domu wynajmowanego przez Grantów.



Australijscy Aborygeni

Dwa numery dalej, w azbestowym domu na palach (to były niewysokie słupki, na werandę wchodziło się po dwóch schodkach) mieszkała rodzina Aborygenów. Dom należał do państwa, był nieogrodzony od ulicy i straszliwie zapuszczony.

Pewnego ciepłego poranka Mary usłyszała krzyki. W życiu nie słyszała dotąd tak grubiańskich przekleństw. Wyjrzała na ulicę: przed domem Aborygenów rozgrywała się rodzinna scena. Starsze dzieci z przerażeniem biegały dookoła, dwójka najmłodszych siedziała porzucona w kurzu, a ich rodzice, szczepieni ze sobą i młócący rękami, zażarcie się bili.

Przerażona, Mary pobięła do Holendrów, ale nie było ich w domu. Zadzwońiła więc na policję, ale po drugiej stronie odpowiedziano jej, że takie awantury odbywają się co tydzień i żeby się nie wtręcała. Nie, policja nie będzie interweniować.

Wkrótce przekonała się, że istotnie, takie bójkę stanowiły część stylu życia jej aborygeńskich sąsiadów. Później przekonała się, że na porządku dziennym było wśród nich bicie żon, pijaństwo zarówno wśród mężczyzn jak i kobiet, zastraszenie i zaniedbywanie dzieci. Taka była Australia. Trzeba się było jej uczyć, trzeba się było przyzwyczajając: do dziwnie budowanych domów i do dziwnie mówiących ludzi o szokujących obyczajach. (...)



Okolice Perth w okresie Bożego Narodzenia, fot.likeyouau.blogspot.com

Dziwne były te upalne święta Bożego Narodzenia. Mary nie była specjalnie religijna, jej matka również. Z tradycji rodzinnej - byli wszyscy protestantami, ale Jan był katolikiem i nic to nikomu nie wadziło.

Dla jej dzieci w Australii Boże Narodzenie to były przede wszystkim długie letnie wakacje. W te wakacje dzieci dużo przebywały u dziadków, bo i gdzie indziej? Chłopcy lgnęli do Jana, bo Jan miał też urlop i całe dnie majsterkował w swojej szopce w ogrodzie. Ręce Jana były nadzwyczajnie zręczne. Mary raz zajrzała do tej szopki i zdumiała się ilością nagromadzonych tam narzędzi. Wszystko poukładane w idealnym porządku, tylko na środku kupa świeżych obrzynków i wiórów. Jan robił

jakiś mebel.

Nad miastem wisiał upał. Mary już wiedziała, że nie ma co oczekiwać popołudniowej oczyszczającej burzy, najwyżej lekka bryza od morza przyniesie nieco ulgi nad wieczorem. W nocy nagrzane mury domów i ziemia będą wypromieniowywać ciepło. W takie noce najlepiej było spać na zewnątrz, jeśli człowiek nie bał się moskitów. A w dzień trzeba było kryć się w najgłębszym cieniu werandy, albo – jak robiła to jej matka – zasłaniać okna i siedzieć w półmroku. Gotowanie wewnątrz domu nie wchodziło w rachubę. Pewnie dlatego ludzie wymyślili barbecue. Stało ono na podwórzu, a jego konstrukcja była prosta: metalowa beczka, przecięta na pół wzdłuż pionowej osi, umocowana poziomo na nodze z metalowej rury, przykryta blachą grubą na pół palca. Pod tą blachą Jan rozpałił ogień. Dym szczypał trochę w oczy, toteż reszta rodziny trzymała się na dystans. Wędzenie się przy zasmolonej i zardzewiałej beczce było w Australii ponoć honorową funkcją pana domu. Jan wszedł w tę rolę z samozaparciem. (...)

Słońce chyliło się ku zachodniej stronie nieba. Blacha na barbecue była już prawie nagrzana, kiedy pojawił się Charlie i odsunął Jana od paleniska:

- Ja mam więcej doświadczenia - powiedział. Sięgnął po butelkę oliwy, chlusnął nią na blachę. Jan ustąpił i poszedł do ogrodu podlewać grządki. Ogród był spory i podzielony na dwie części: warzywnik od tyłu, a z przodu, koło Barbecue, trawnik i kwiaty. To było królestwo Jana. Z dumą pokazał im swoje gospodarstwo już pierwszego dnia. Jan zawsze lubił uprawiać ziemię. Mary pamiętała, że w Kircaldy mieli piękny ogród: truskawki, ziemniaki, kapustę... I króliki. Często ulubiony królik Mary lądował w garnku... Takie jest życie.

Ten ogród wyglądał inaczej: ziemia była mało urodzajna. Ale i tu były truskawki, sporo krzaków pomidorów, pietruszka, pory i kilka ziół używanych do przypraw: majeranek, mięta, małe drzewko laurowe. Była cała grządka melonów i dyni i kilka drzewek cytrusowych: piękne cytryny i pomarańcze jak błyszczące kule.

Barbecue w wykonaniu Charliego było niezłe. Steki nieco przypalone, ale prawie surowe w środku, plasterki cebuli, pieczarki, upieczone w całości krewetki i grube plastry dyni i cukini. Do tego masa kiełbasek, które dzieciaki pochłaniały z zapałem. Popijano wszystko piwem, bo Charlie stwierdził, że to prawdziwie po australijsku:

tylko piwo. W dużych ilościach.

Dziwnie zmienił się ten jej „mały braciszek”. Mary patrzyła na tego dorosłego mężczyznę i zastanawiała się, czy go jeszcze zna. Myśląc o Charliem zawsze miała przed oczyma tego malca, który był jej utrapieniem w dzieciństwie. Kiedy Charlie dorósł? Jakoś to przegapiła. Oddaliła się od nich wszystkich, kiedy wyszła za mąż, urodziła swoje dzieci i miała swoje kłopoty. Sandra co prawda bywała jej gościem na wsi, ale Charlie miał już swoje życie. Służył w wojsku, potem się ożenił z Lily, rudą Irlandką, która urodziła mu synka. Klepali biedę, kiedy po wyjściu z wojska nie mógł znaleźć pracy. Miał dobry zawód, był spawaczem, ale stocznia w Glasgow nie potrzebowała nowych ludzi do pracy. Nie gardził żadnym zajęciem, ale zdarzało się, że Mary oferowała mu niewielkie sumy zaoszczędzone z budżetu domowego, żeby mógł na czas opłacić czynsz za mieszkanie. Kiedy zdecydował się jechać do Australii, Mary po raz pierwszy spojrzała na niego z szacunkiem. Więcej, patrzyła wtedy na niego z podziwem. A teraz byli w Australii wszyscy.

Jej bratowa, Lily, siedziała na uboczu, Mary przysiadła się do niej. Lily wyglądała kwitnąco w urodzie swoich trzydziestu lat, kusząco zaokrąglona, pięknie opalona, wypoczęta i zrelaksowana. *Widać po niej, że im się świetnie powodzi* – pomyślała Mary. I powiedziała to głośno. Lily się roześmiała.

- Nie najgorzej, owszem. Charlie znowu zmienił pracę. Za każdym razem dostaje wyższe stanowisko i lepszą pensję, sprytnie to robi.

- A ty nie wybierasz się do pracy?

Lily spojrzała na nią zaskoczona.

- Wiesz, że tu uważa się, że kobieta nie powinna pracować. Nasza Eileen jest jeszcze mała. Zresztą, Charlie zarabia na nas wszystkich. Ale na początku było okropnie – dodała pośpiesznie, jakby chciała zatrzeć niepożądane wrażenie czy też pocieszyć Mary. - Każdy nowo przyjezdny przeżywa to samo. (...)

Część miasta na północ od rzeki była uważana za lepszą, niż część południowa.

Och, mieć własny dom – pomyślała Mary. Marzyła o tym, że pewnego dnia będą mieli swój własny dom, niechby nawet z państwowego przydziału. Wszystko będzie lepsze

niż to różowe okropieństwo, w którym mieszkają. I nie będzie trzeba znosić tego wścibskiego właściciela, który zawsze chce przeprowadzać inspekcję domu akurat wtedy, gdy Gordon jest w pracy.



Sztuka Aborygenów.

Popołudnie zmieniało się w wieczór. Dzieci rozpakowały prezenty, dorośli siedzieli syci i zadowoleni, kiedy La-la zaczęła znowu wspominać dawne, dobre czasy. Sandra kręciła się niespokojnie, wyraźnie rada by się wymknąć. Chłopcy słuchali grzecznie. Opowieść wyraźnie miała mieć jakąś wartość pedagogiczną.

La-la zaczęła wspominać światowe życie, jakie pędziła przed śmiercią swego pierwszego męża. Mieszkali w pięknym domu - to prawda, Mary pamiętała coś niecoś - mieli trzy sypialnie i jadalnię z wielkimi na całą ścianę oknami, był też salonik, duża łazienka z osobną toaletą, wielki przedpokój, wygodna kuchnia... A w salonie zbierało się czasem dobre towarzystwo - *bo wasz dziadek był biznesmenem i obracał się w wysokich sferach. Miał wielu znajomych artystów. Spotykaliśmy bardzo*

sławnych i ważnych ludzi. Podczas Wielkiej Wystawy Imperialnej w Glasgow w 1938 roku wasz dziadek gościł w swoim pawilonie pocztowym Króla i Królową. Gdzieś mam nawet zdjęcie...

Najgorsze zawsze było zakończenie takich wspomnień:

- Boże, na co mi przyszło?

Mary spojrzała na Jana. Siedział wpatrzony w coś przed sobą, przygarbiony i milczący. Nie powie słowa, słyszał to już tyle razy. Nie będzie się bronił. Nie powie, że Sheila była przecież na dnie, gdy ją spotkał. A może nie wie o tym? Ale dlaczego dzieci mają wierzyć w te kłamstwa? Pogardzać Janem? Za co? Postawiła ze stukiem filiżankę na spodku i bardzo wyważonym, spokojnym i uprzejmym tonem zapytała:

- A czy pamiętasz mamó, jak żyliśmy podczas wojny?

Matka wzruszyła ramionami. Mary parła dalej:

- Jak paliliśmy w piecu starymi płytami gramofonowymi, bo węgla nie było? Jak trzeba było sprzedać meble, pianino, nasze zabawki? Pamiętasz, co jedliśmy? Toffi robiłaś nam tylko na urodziny i na Gwiazdkę?

Matka zirytowała się.

- Po co wspominać te rzeczy? Potem było lepiej.

- Tak, jak pojawił się Jan.

La-la zwróciła się do dzieci, ignorując córkę:

- Jan był marynarzem...

- Dajcie spokój - wtrącił się Jan.

- I nie umiał po angielsku. Nie miał pojęcia o świecie. Zresztą - nadal nie ma.

Odezwała się w tym momencie Sandra, zmęczonym głosem:

- Mamó, nie mów takich rzeczy. To nieprawda.

- A znacie tę historię, jak pojechał do Londynu? Nie znał mnie jeszcze wtedy.
- To niesmaczne - mruknęła Sandra. Ale Sheili nic już nie mogło powstrzymać.
- Więc, jego okręt stał w Southampton. Jan pojechał pociągiem do Londynu, spotkał tam jakąś miłą blondynkę i spędził u niej trzy dni. Odprowadziła go na Waterloo Station, ale pomylił się i wsiadł w pociąg, który jechał do Walii, a nie do Southampton. Spóźnił się na okręt. Oczywiście stanął przed sądem, bo to była wojna. Tłumaczył się, że wsiadł w zły pociąg, kapitan go pyta, czy pamięta nazwy stacji, przez które jechał. A Jan na to: *Widziałem tylko „Gentlemen”, „Gentlemen”*, bo tylko to przez okno widział, jak pociąg stawał na dworcach! - i Sheila roześmiała się złośliwie, a Jan dokończył:
- I siedziałem w areszcie, i zdegradowali mnie, i straciłem 10 szylingów z pensji, a to było wtedy dużo pieniędzy.

Wstał z fotela i wyszedł do ogrodu. W ciszy Mary wyszła za nim. Stał wśród swoich grządek. Trzymał w ręku dużą dynię. Złocistą. Przyglądał się jej. Mary podeszła, położyła głowę na jego ramieniu. Podał jej dynię:

- Chcesz, weź sobie. Piękna, prawda?
- Janie - zapytała Mary cicho. - Na tym okręcie, jak cię zamknęli w areszcie, to o czym myślałeś?

Chwilę milczał, potem zebrał się w sobie i powiedział:

- O Polsce. I o mojej matce.

Dla Szkotów Nowy Rok jest ważniejszy niż Boże Narodzenie. W Glasgow gospodynie myją, skrobią i pucują wszystko, co się da. Na spotkanie Nowego Roku należy być czystym. To przekonanie zostało Mary na zawsze.

W Szkocji, kiedy przyszedł wieczór sylwestrowy, ustawiano na stole whisky i kieliszki razem z ciastami: kruchym i owocowym. Aż do północy nie otwierało się żadnej butelki i nie piło się żadnego alkoholu, a po północy każdy gość był mile widziany i

podejmowany.

Ten ich pierwszy Nowy Rok w Australii miał wyglądać inaczej: pod zasypanym obcymi gwiazdami niebem, w chłodzie przynoszącym ulgę po upale dnia, w samotności. A butelka whisky była luksusem, na który nie mogli się zdobyć.

Fabryka mebli, w której od kilku miesięcy pracował Gordon, została zamknięta na okres świąt i Nowego Roku - i był to urlop bezpłatny. W spiżarni półki były prawie puste. Mary ze zmartwienia nie mogła spać po nocach. Próbowwała bardzo delikatnie wspomnieć matce o ich finansowych kłopotach, ale jej sugestia pożyczki została pominięta milczeniem. Z Charliem rozmawiała otwarcie i otwarcie powiedział jej:

- Nie mam pieniędzy, ale możecie iść do Biura Opieki Społecznej, oni wam pomogą.

Po raz pierwszy w życiu wybrali się do Urzędu prosić o wsparcie. Straszne było to przeżycie dla nich obojga. Musieli wyjaśniać sytuację. Musieli tłumaczyć, że ich sponsorzy (matka i Charlie) są też w trudnej sytuacji, choć sami nie byli o tym przekonani. Urzędnik na szczęście był pełen zrozumienia i otrzymali pieniądze, dosyć, żeby zapłacić za mieszkanie i kupić żywność.

W tę australijską noc pełną wrzeszczących cykad, kiedy wybiła północ, z pierwszą minutą roku 1968, Gordon otworzył butelkę whisky, wypili za Szkocję i oboje myśleli to samo: *że też diabli nas podkusili, żeby stamtąd wyjeżdżać!*

Nie mieli pieniędzy na bilety powrotne.



Australia, fot. John White.

Rozdział 4 ukaze się w poniedziałek 10 kwietnia 2017 r.

Z małego miasteczka w wielki świat

**Rozmowa z Aleksandrą Ziółkowską Boehm o wspomnieniach Normana
Boehma**



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem Boehmem, fot. arch. AZB.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Na początku 2017 roku w amerykańskim wydawnictwie Hamilton Books wyszły wspomnienia Pani męża Normana Boehma *From a Small Town to the Big World (Z małego miasteczka w wielki świat)*. Nie każdy pisze wspomnienia, skąd u Normana taka potrzeba zapisywania obserwacji i wydarzeń ze swojego życia?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: Trochę było w tym mojej perswazji i pasji do pisania. Od lat mówiłam, że powinien napisać wspomnienia. Norman napisał we

wstępie, że „Aleksandra go wciąż zachęcała”. Uważam, że każdy z nas ma swoją opowieść i może ją napisać opierając na własnym życiu. Każdy może napisać własne wspomnienie, biografię, pamiętnik czy historię rodzinną. Jak dalece chce, jak dalece potrafi, i czy będzie chciał i umiał poddać się dyscyplinie, to jest osobne zagadnienie.

JS-G: Czy Norman Boehm prowadził regularny dziennik?

AZ-B: Nie prowadził dziennika. Zaczął pisać kilka lat temu, gdy byłam ponad rok na stypendium Fulbrighta. Na te stypendia jest zapraszana rodzina, Norman był ze mną. Kupiliśmy drugiego laptopa i zaczął pisać o swoim dzieciństwie, młodości, szkole, studiach, pracy za granicą. Pokazywał mi, zachęcałam, by rozwinął niektóre wątki, i tak się książka powolutku pisała.

JS-G: Jaki był dom rodzinny Normana Boehma?

AZ-B: Norman był jedynakiem, miał szwedzko-niemieckie korzenie. Jego babcia (Blenda Bergman), przyjechała ze Szwecji, poznała emigranta z Niemiec (Carl Adalberta Boehm), i pobrali się. Ich jedyny syn, Normana ojciec, urodził się w Chicago. Rodzina przeniosła się na Wschodnie Wybrzeże i w niedużym miasteczku w stanie New Jersey urodził się Norman.

JS-G: Napisała Pani piękną książkę o słynnej ciotce Normana Boehma, aktorce Ingrid Bergman. Czy w swoich wspomnieniach Norman poświęca jej dużo miejsca?

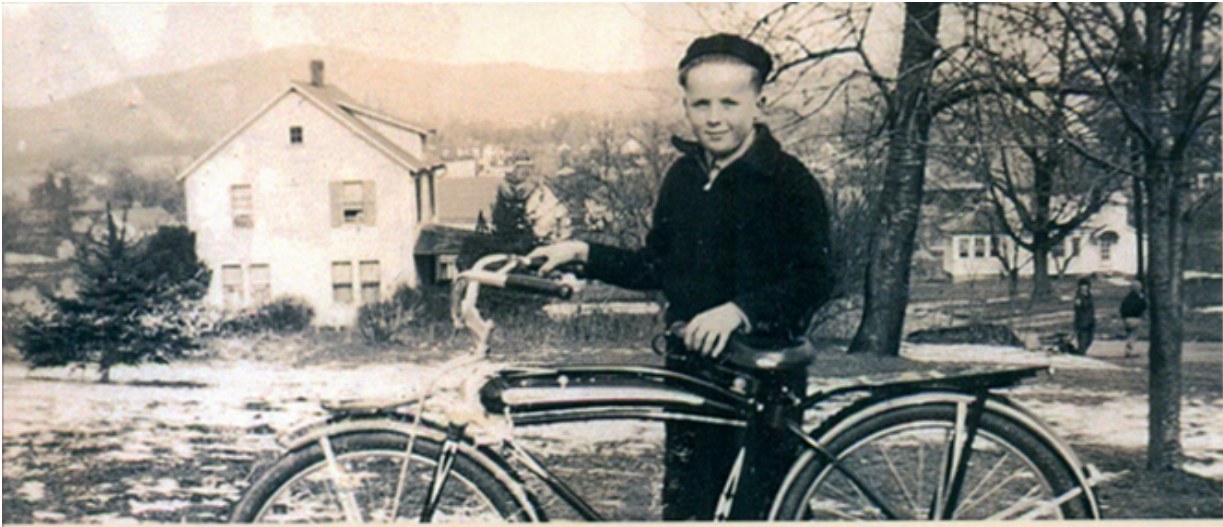
AZ-B: Norman oczywiście przywołuje spotkania ze swoją kuzynką Ingrid (w Polsce nazywano by ją ciocią). Ojciec Ingrid (Justus) i babcia Normana (Blenda) byli rodzeństwem.

W mojej książce *Ingrid Bergman prywatnie* (amerykańskie wydanie ukazało się pod tytułem *Ingrid Bergman and her American Relatives*) cytuję listy Ingrid do jego babci Blendy (ulubionej cioci Ingrid), do jego ojca, i także do Normana. Przywołuję jej wypowiedzi na temat Szwecji, Włoch, Ameryki. Piszę o jej małżeństwach, przede wszystkim, jak wielką pasją było dla niej aktorstwo. Książkę oparłam na rozmowach z Normanem, przeczytałam opublikowane książki na temat wielkiej aktorki, między innymi jej autobiografię (napisaną z Alanem Burgess) *My Story*.

JS-G: Co spowodowało, że Norman Boehm zdecydował się na dalszą naukę z daleka

od domu?

AZ-B: Jego ojciec uważał, że syn powinien wyjechać z małego miasteczka, poznać inne rejony wielkiej Ameryki. Po skończeniu szkoły średniej Norman wybrał studia na Uniwersytecie w Północnej Dakocie. Jechał trzy dni autobusem. Wiele osób okazało mu serdeczność, co zapamiętał na całe życie. Tęsknił za domem, ale - jak pisze - po pierwszej wizycie na święta, cieszył się, że wracał na uczelnię, gdzie miał kolegów, gdzie należał do honorowego studenckiego stowarzyszenia - fraternity: *Alpha Tau Omega (ATO)*.



NORMAN BOEHM

FROM A SMALL TOWN TO THE BIG WORLD

Foreword by Aleksandra Ziolkowska-Boehm



HAMILTON BOOKS

"Norman Boehm's story is a wonderful travelogue that sparkles with insights about a rich life, fully lived, richly detailed, and evocative. This is true whether he is playing the piano (or baseball), meeting with his cousin Ingrid Bergman on the set of *Anastasia*, with Yul Brynner, or punching out a school bully who had insulted his partial German heritage during World War II. He ranges from Saudi Arabia to Poland and Norway, and across the United States. This is a rewarding and engaging reading experience."

—**BRUCE E. JOHANSEN**, Frederick Kayser University Research Professor,
Communication and Native American Studies, University of Nebraska at Omaha

"Norman Boehm had an ancestry and upbringing that fully predicted his great talents, achievements, and graces. His book of memoirs provides exceptional breadth and depth regarding the key events which shaped his personal life's journey and the lives of many others. Coincidentally, an excellent summary of my U.S. Air Force career, from young lieutenant to a general in the United States military was written by Norman's wife Aleksandra in her superb book, *The Roots Are Polish*. That book brought me closer to the Polish community in the United States and in Poland; but more importantly, it allowed me to meet, enjoy, and learn from Norman Boehm—one of my greatest pleasures. Norman and I spent many an hour talking about flying. While Norman's personal aircraft was small and light, he was a superb pilot and we spent much time together discussing the techniques and joys of flying."

—**DONALD J. KUTYNA**, 4-Star General, U.S. Air Force, Commander-in-Chief,
North American Aerospace Defense Command, Commander-in-Chief,
United States Space Command, Commander, Air Force Space Command (ret.)

This is a story of a young lad who chose college far away from his small home town of Washington, NJ. He worked in the oil industry for sixteen years in Saudi Arabia, four years in London, England, and three years in Stavanger, Norway. Twenty-three years of exposure to the world's diverse cultures and peoples gave him an unwavering respect and admiration for all citizens of the world.

This book is a recollection of the events, thoughts, and experiences of Boehm's transformative travels abroad. It contains stories of classical piano lessons, learning to fly a small single engine aircraft, and meeting with his distant relative, the world famous movie actress Ingrid Bergman. This memoir honors the remarkable life of a man full of adventure and travel all over the world.

NORMAN BOEHM grew up in Washington, NJ, and studied at University of North Dakota following two years in the V-5 U.S. Naval Training Program. His top professional achievement was contract managing the construction of the North Sea oil rig installations of North Cormorant.



HAMILTON BOOKS
800-462-6420
WWW.FOWHILL.COM

ISBN 978-0-7618-6876-7



JS-G: Norman Boehm, po ukończeniu chemii i kolejnych kursów prawniczych, spędził 23 lata poza Stanami Zjednoczonymi – 16 lat w Arabii Saudyjskiej, 4 lata w Londynie i 3 lata w Stavanger w Norwegii zarządzając budową szybów wiertniczych. Na czym polegała jego praca?

AZ-B: Był specjalistą od układania kontraktów, które dotyczyły między innymi właśnie budowy szybów wiertniczych na oceanie. W Londynie nadzorował projekt *North Cormorant*, który w historii firmy Exxon jest uważany za „the most successful”, ukończono go wcześniej niż przewidywano, zmniejszono przewidywany budżet, i nie było żadnych „niespodzianek”.

JS-G: Czy mieszkanie w krajach o różnych kulturach miało wpływ na poglądy Normana?

AZ-B: Ogromny. Pracowali z nim Arabowie, Palestyńczycy, Norwegowie, Anglicy. Cenił różne kultury i różnych ludzi. Zgromadzony przez niego szacunek dla „innych” został mu na całe życie.

JS-G: Norman Boehm miał też pasje – gra na fortepianie i lotnictwo. Jak je realizował?

AZ-B: Był pilotem w amerykańskim NAVY, a po latach miał swój nieduży samolot (*aeronca chief*). Bardzo kochał latanie. O tym m.in. rozmawiał z Donaldem Kutyną, amerykańskim 4-gwiazdkowym generałem, przez wiele lat szefem Air Force, który ma ogromne osiągnięcia. Napisałam o nim w książce *The Roots Are Polish*, ma bowiem polskie pochodzenie.

Jako chłopiec Norman przez osiem lat uczył się gry na fortepianie. Uwielbiał muzykę Chopina (grywał np. „Walc minutowy”), Beethovena, Schuberta, Czajkowskiego. Grywał także popularne melodie, jak „Begin the Beguine”, „Adios”, „Granada”, „My Shawl”... Do końca życia prawie każdego dnia grał na pianinie. Cały dom rozbrzmiewał muzyką... bardzo mi tego także brakuje...



Aleksandra Zikowska-Boehm z mężem, podczas spotkania absolwentów szkoły średniej Normana, 1991 r., fot. arch. AZB.

JS-G: Proszę opowiedzieć, jak się Państwo poznali.

AZ-B: Poznaliśmy się w Stanach, byłam wówczas na stypendium. Wymieniliśmy adresy i zaczęła się korespondencja. Telefonował co tydzień, kilka razy przyleciał do Warszawy. Niecały rok później w 1990 roku pobraliśmy się. Jest o tym rozdział w książce Barbary Henkel *Bezpieczne związki* (Wydawnictwo Nowy Świat, 2003).

JS-G: Czy zdecydowała się Pani na budowanie swojego życia w Stanach Zjednoczonych, właśnie ze względu na Normana?

AZ-B: Tak właśnie było - wyszłam za mąż i zamieszkałam z mężem w jego kraju, ale cały czas utrzymywałam i utrzymuję stały kontakt ze swoim. Zwykle dwa w razy do roku bywam w Polsce, ukazują się moje książki, mam ukochaną rodzinę i

czytelników. Czeka też na mnie moje nieduże warszawskie mieszkanie, które bardzo lubię.

JS-G: Jak pamiętam, Norman Boehm uczestniczył w Pani pracy, był zainteresowany polską historią, kulturą i reagował, gdy Polska, czy Polacy byli niesprawiedliwie oskarżani.

AZ-B: Reagował pięknie. Zabierał głos, gdy ukazywały się krzywdzące Polskę artykuły. Pisywał listy do redakcji pism, w których pojawiały się różne pomówienia. Włączył się także w akcję przekonywania amerykańskich senatorów do przyjęcia Polski do NATO. (Po śmierci Normana pięknie napisała o tym Anna Bernat dla PAP-u). W książce Jana Nowaka Jeziorańskiego *Polska droga do NATO* (Wrocław 2006, red. Dobrosława Platt, wstęp Jerzy Koźminski), są zamieszczone jego listy do senatora Joe Bidena (późniejszego wiceprezydenta), do senatora Kay Bailey Hutchinson. Norman stał się niemal „polskim patriotą”. Bardzo mnie to ujmowało i było ważnym aspektem w naszym wspólnym życiu.

JS-G: Dzięki Pani pasji i pracy życie Normana stało się bogatsze o inną kulturę, którą pokochał jak swoją. Przyjeżdżał z Panią do Polski i Polskę poznał.

AZ-B: Bardzo lubił i cenił Polaków, uważał nasz naród za serdeczny, patriotyczny. O naszej historii dużo się ode mnie dowiadywał, bardzo miał piękne podejście do Polski. Żartuję czasami mówiąc, że nie znał polskiego, a ja nie tłumaczyłam mu różnych „polskich sporów”. Gdy pracował, przylatywał do Polski na krótko, zwykle dwa razy w roku. Gdy przeszedł na emeryturę - lecieliśmy oboje na siedem - osiem tygodni do Polski. Bywał na moich spotkaniach autorskich, lubił moją rodzinę, przyjaciół. Doskonale się w Polsce czuł. Wygłosił wykład na Politechnice Łódzkiej na temat etyki zawierania kontraktów. Jeździliśmy w różne miejsca, pokochał Zakopane. Z zabawnych anegdot opowiem jedną. W Zakopanem byliśmy na Gubałówce z Michałem Radgowskim, felietonistą „Polityki”. Norman patrzył na panoramę gór pełen zachwytu. - Powiedz mu, że to są góry słowackie - powiedział Michał. - A po co?... Niech podziwia i myśli, że polskie - odpowiedziałam. Radgowski tak był zaskoczony, że napisał o tym w felietonie.



Norman Boehm i Michał Radgowski w Zakopanem, fot. arch. AZB,

Gdy lecieliśmy oboje, towarzyszyła nam nasza kotka Suzy, a potem też drugi kot. Koty także dobrze się czuły w Warszawie (napisałam książkę *Podróże z moją kotką*, która miała też amerykańskie wydanie *On the Road with Suzy from Cat to Companion*). Z naszą Suzy odwiedzaliśmy np indiańskie rezerwy.

JS-G: Wspomnienia Normana Boehma zostały opatrzone ciepłymi refleksjami jego przyjaciół, m.in. przywoływanego wcześniej generała polskiego pochodzenia, dowódcy Obrony Północnoamerykańskiej Przestrzeni Powietrznej, Donalda J. Kutyny, czy Bruce'a E. Johansena, profesora na University of Nebraska. Pamiętam, że Norman miał też dobre relacje z Joe Bidenem, senatorem z Delaware, wiceprezydentem w rządzie Baracka Obamy. Czy dużo miejsca we wspomnieniach zajmują bliscy mu ludzie i przyjaźń?

AZ-B: Norman pisze o kolegach ze szkoły podstawowej, średniej, studiów, pracy, rodzinie. Napisał, jak zachwyił się Europą, po pierwszej pierwszej podróży na ten kontynent, jak inaczej przedstawiano ją w Stanach.

Napisałam do jego książki wstęp – między innymi jakim był człowiekiem prywatnie. Zacytowałam jego – naszych przyjaciół, m. in. znanego Indianina z Montany. Oboje z Normanem jeździliśmy do obu Dakot, Montany, wspieraliśmy szkoły indiańskie (St Labre, St Joseph i Red Cloud Indian School), Crazy Horse Memorial w Południowej Dakocie (gdzie przed laty mój stryj Korczak Ziółkowski zaczął rzeźbić w skałach wodza Crazy Horse). Norman jest obecny w mojej książce indiańskiej *Otwarta rana Ameryki* (amerykańskie wydanie *Open Wounds A Native American Heritage*).



Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem Boehmem, fot. arch. AZB.

JS-G: Norman odszedł w maju 2016 roku. Czy przygotowywanie wspomnień do druku było dla Pani terapią?

AZ-B: Tak, praca nad wspomnieniami była swoistą terapią i swoistym ukojeniem. Żałuję, że Norman nie doczekał decyzji amerykańskiego wydawcy, że książki już nie

zobaczył.

JS-G: Czym dla Pani było dwadzieścia sześć lat życia z mężem Normanem?

AZ-B: Gdy się spotkaliśmy obydwójce byliśmy dojrzałymi ludźmi, umieliśmy docenić każdy wspólny dzień. Myślę, że w młodości często jesteśmy zapalczywi, niecierpliwi, wymagający. Oczekujemy więcej niż sami jesteśmy gotowi dać. Na wszystko trzeba dojrzałości. Z pokorą mogę powiedzieć, że nasze małżeństwo to był dar od Pana Boga.

Normana Boehma wspominają Bruce E. Johansen i Donald J. Kutyna. Głosy wydrukowane na tylnej stronie okładki:

Norman Boehm's story is a wonderful travelogue that sparkles with insights about a rich life, fully lived, richly detailed and evocative. This is true whether he is playing the piano (or baseball), meeting with his cousin Ingrid Bergman on the set of Anastasia, with Yul Brynner, or punching out a school bully who had insulted his partial German heritage during World War II. He ranges from Saudi Arabia to Poland and Norway, and across the United States. This is a rewarding and engaging reading experience.

BRUCE E. JOHANSEN, Frederick Kayser University Research Professor, Communication and Native American Studies, University of Nebraska at Omaha.

Norman Boehm had an ancestry and upbringing that fully predicted his great talents, achievements, and graces. His book of memoirs provides exceptional breadth and depth regarding the key events which shaped his personal life's journey and the lives of many others. Coincidentally, an excellent summary of my U.S. Air Force career, from young lieutenant to a general in the United States military was written by Norman's wife Aleksandra in her superb book, „The Roots Are Polish”. That book brought me closer to the Polish community in the United States and in Poland; but more importantly, it allowed me to meet enjoy, and learn from Norman Boehm — one of my greatest pleasures. Norman and I spent many an hour talking

about flying. While Norman's personal aircraft was small and light, he was a superb pilot and we spent much time together discussing the techniques and joys of flying.

DONALD J. KUTYNA, 4-Star General, U.S. Air Force, Commander-in-Chief, North American Aerospace Defense Command, Commander-in-Chief, United States Space Command, Commander, Air Force Space Command (ret.)

Over the years i had the pleasure of conversing with Norman on a variety of topics we both found interesting, and even some that I didn't know I had an interest in until Norm brought them to life. Norm had this impressive ability to stitch together many separate and distinct conversations from the one at hand, and tie them all back together to form the fabric for another opportunity to better understand the world we live and navigate in. Norm was worldly, well-traveled, and deeply informed in a number of subject areas. Yet in all his wisdom and knowledge, he was above all else, kind, caring, non-judgmental and an appreciative soul, of the world, its inhabitants, and the cultures they express. In particular his keen interest in Native American cultures of the Northern Plains Tribes was filled with compassion, admiration, and respect for our people and our dedication to maintaining our cultural values in this fast changing world.

RODNEY TRAHAN, Member of the Northern Cheyenne Tribe, Board Member for Partnership with Native Americans.



Filadelfia 2000 r. Od lewej: Barbara Wachowicz, Norman Boehm i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. arch. AZB.

Wydawnictwo:

<https://rowman.com/ISBN/9780761868767/From-a-Small-Town-to-the-Big-World>

Tropami Federica. Część I.



Florian Śmieja przed letnim domem F.G. Lorci.

Florian Śmieja

Choć Hiszpania jest bogata w piękne miasta, dla mnie najcudniejsza jest Granada. Kiedykolwiek patrzyłem z okien Alhambry na rozgwarzone miasto, zawsze wionął ku mnie jego geniusz, który niby pogłos płynął poprzez żyzną dolinę rzeki Genil ku szczytom Sierra Nevada. Zawodzące wołania przekupniów, pianie kogutów, piski dzieci i śpiew kobiet, zlewały się w jeden nieosobowy głos pełen smętku i melancholii, pełen niewysłowionej żałości, jakiejś szlachetnej zadumy i tęsknoty za dawnymi latami.

Poeta arabski Abuhasan Hosri z XI wieku pisał:

Słusznie, że w Andaluzji żałobne szaty są białego koloru. Czy nie widzisz, że ubrałem się w biel włosów na znak żałoby po młodości.

Granada jest najbielsza. To zakątek ziemi obiecanej dla marzycieli, oaza, do której

się przyjeżdża śnić. Z jednej strony Alhambra, opuszczona i dostojna, w której przy blasku księżycy snują się poetyczne postacie nieszczęśliwych, ostatnich jej arabskich mieszkańców. Alhambra - perła Andaluzji, biała wierzba nad ruinami królestwa. Naprzeciw Albaicin, miasto Cyganów, gąszcz flamenco i kastaniet. Pieczary w skałach i rozdygotane smagłe ciała. Reszta się mniej liczy. Miasto to przylepka do tych dwu biegunów życia. Nawet katedra i kaplica, kryjąca dostojne sarkofagi królów, zduszone są przez pół muzułmańskie i żydowskie zaułki i domki.

Klimat Granady rodzi się z przeszłości i kontemplacji, niebezpiecznej kontemplacji. Nawet ascetyczny św. Jan od Krzyża nie oparł się urokowi muzułmańskiego miasta. Jego "Kantyczka duchowa" jest pełna orientального obrazowania poetyckiego. Tu wyrósł Ludwik, mistyk widzący Boską wszechmoc szczególnie w misterności swojego miasta, w rzeczach malutkich i filigranowych.

Granada - to biel marmuru i wapna, to żółte trele kanarków, księżycowe serenady słowików, to wodotryski i kaskady, to gaje pomarańcz i cytryn, to zagajniki cyprysów, to kępy róż, oleandrów, mirtu, łuny szafranu i głębokie cienie altan.



Alhambra, ornamenty.

Granada przykuwa do siebie. Arabowie wypędzeni z ukochanego miasta założyli w

Maroku Tetuan. Ale ich tęsknota przemierzała morze i leciała do Alhambry. Emigracyjny pietyzm druhów Boabdila kazał im nosić przy sobie klucze swych andaluzyjskich domów. Kto nie widział Granady, ten nic nie widział, głosi przysłowie. A kto ją raz ujrzał, będzie do niej wracał. Kto się w Granadzie urodził, ten z dala od niej nie potrafi oddychać.

W dolinie miasta w małej wsi Fuente Vaqueros w 1898 roku przyszedł na świat Federico Garcia Lorca. Ojciec jego był zamożnym gospodarzem, matka, nauczycielką o subtelnej, andaluzyjskiej duszy. Poeta był najstarszym z czworga rodzeństwa, chłopcem raczej przeciętnym, a może nawet nieco upośledzonym. Na jego wielką przyszłość nic nie wskazywało, chyba tylko wczesne zamiłowanie do muzyki. Nie mówił jeszcze mając dwa lata, natomiast nucił już ludowe piosenki.

Znajomi poety, a szczególnie R.M., jeden z moich wykładowców na King's College w Londynie, od ktorego zaczerpnałem wiele szczegółów biograficznych, podkreślają znaczenie choroby, na jaką poeta w dzieciństwie cierpiał. W rezultacie nie mógł chodzić do czwartego roku życia, a pewna niezgrabność w jego sposobie chodzenia towarzyszyła mu do końca. To spowodowało, że dzieckiem jeszcze będąc skierował swoją aktywność i zainteresowania ku medytacji, a ta rozwijała i tak już bogatą wyobraźnię. Stąd pochodziła jego skłonność do czujnej obserwacji otaczającej go przyrody i wielka miłość do wszystkiego, co małe i upośledzone, charakterystyczne w ogóle dla Granady. Mógł wyrosnąć na cichego marzyciela, ale, przynajmniej na zewnątrz, tak się nie stało. Skoro nie mógł brać udziału w harcach i zabawach swoich rówieśników, zaczął im przewodzić przez wciąganie ich w krąg własnych zainteresowań, to jest poezji i teatrzyków.

Lata dziecinne spędzone w szczęśliwym domu w rodzinnej wiosce w atmosferze andaluzyjskiej, miały dla poety kapitalne znaczenie. Pojechałem tramwajem do podmiejskiej miejscowości Fuente Vaqueros. Na centralnym placu zastałem stoiska i odpustowe budy z okazji jakiegoś święta. Przez sam środek przechodziło liczne stado czarnych kóz. W domku kuzynki Aurelii oglądałem przedmioty pamiętające wielkiego poetę. Pokazywano drzwi, które jako dziecko zapał od wewnątrz, tak że trzeba było na siłę je forsować, prezentowano poduszki wyszywane, które Federico,

wszechstronnie uzdolniony artysta, zaprojektował.

Ze wsi imponująco wyglądała panorama dominującego nad Granadą masywu Sierra Nevada. Patrząc na jego bujną żywotność wyrywał się z piersi okrzyk: „zieleni, kocham cię, zieleń” – *„verde que te quiero verde”*.



Federico Garcia Lorca

Kiedy Federico zaczął uczęszczać do szkoły średniej, rodzice przenieśli się do Granady. Tam Lorca zapisał się na uniwersytet i ukończył prawo, nie bez trudności, gdyż jego zainteresowania nie leżały w programie uczelni. W tym czasie zaczął rozczytywać się w literaturze. Studiował klasyków, romantyków, a wreszcie pisarzy tzw. pokolenia 1898 roku z Ginerem de los Rios, Unamunem, Perezem Galdosem, a następnie Madariagą i Ortegą y Gasset na czele. Czytał tragików greckich i współczesną literaturę europejską, która jednak nie wywarła na jego twórczość większego wpływu. Niewątpliwe zdolności muzyczne znalazły szczerego wielbiciela w osobie kompozytora Manuela de Falli. Kiedyś tak się on o poecie wyraził: "Pan wie, kim Lorca jest jako poeta. Mógł on być równie wielkim, a może nawet większym muzykiem".

Doskonale zapowiadał się również jako malarz dzięki zachęcie i zrozumieniu profesora. Ten zwykł był zabierać studentów na wycieczki krajoznawcze po Hiszpanii. Poeta podczas jednej z nich zanotował znamienne słowa: "Po raz pierwszy

poczułem się całkowicie Hiszpanem”. To pierwszy wyłom w jego lokalnym granadyzmie. Pod wrażeniem kryształowej prozy Azorina napisał “Wrażenia i krajobrazy”.



Fernando de los Rios

Jeszcze jako student zaczął wywierać wpływ na intelektualne koła Granady. Celował w recytacjach przy akompaniamencie fortepianu. Jego czar osobisty zjednywał mu wielu przyjaciół. Ta tajemnicza siła sugestii miała podobne skutki w Madrycie, dokąd się przeniósł. Zaprosił go Fernando de los Rios do tzw. “Rezydencji studentów”, hiszpańskiego eksperymentalnego kolegium na modłę instytucji angielskich. Lata 1919-1928 dzieli poeta między Madryt a Granadę. W 1929 roku w teatrze głośnego dramaturga Gregoria Martinez Sierra wystawia pierwszą sztukę “Czary motyla” (*El maleficio de la mariposa*), ale bez powodzenia. Sztuka jest ciekawa, rozgrywa się w świecie owadów. W 1921 r. wydał pierwszy zbiór wierszy “Libro de poemas”.

Jak tylu innych młodych poetów, Lorca wystąpił pod znakiem Rubena Dario. Świadczy o tym rytm i filozofia poety nikaraguańskiego. Znać wpływy innych poetów, między innymi Juana Ramóna Jiménez. Raz po raz pojawiają się *greguerias*, swoiste aforyzmy jakie pisał Ramón Gómez de la Serna. Mimo niedociągnięć pierwszych poezji tkwi w nich zalążek całego świata poetyckiego Lorci. Jemu należy przyznać zasługę upoetyzowania liryki dziecięcych pieśni. Dotąd folklor dziecięcy był

igraszką lub co najwyżej motywem. Teraz gminny ten element wchodzi do poezji na pełnych prawach. Dostrzec też można w poezji młodzieńczej Lorci silną zmysłowość, lubowanie się w ironicznym opisie zwierząt, częste aluzje do księżyca w dziecińczych zwrotach. Zjawia się śmierć - obsesja poety. Obserwacja natury zaskakuje oryginalnością. Drobne rzeczy nabierają symbolicznej wielkości. Ten tom wierszy to różnorodność tematyczna i formalna, rezultat borykania się młodego poety z doktrynerstwem współczesnej mu poezji hiszpańskiej.

Poema del cante jondo został napisany już w 1921 roku, choć w druku ukazał się dopiero dziesięć lat później. Jego podłożem jest "cante jondo", zawołanie andaluzyjskich Cyganów znane też jako flamenco. Atmosfera cygańskiego świata, bliskość śmierci, strach i radość, gitary, sztylety, gaje oliwkowe, zapładniają imaginację młodego poety, który całkowicie podporządkował się rodzimej ludowości. Lorca odkrywa Andaluzję niepokoju, żyjącą pod jarzmem śmierci, odnajduje w tradycji ludowej tworzywo, ku któremu później skieruje całe zainteresowanie, rozszerzy je i przetworzy.

Canciones to zbiór poezji wracających tematycznie do *Libro de Poemas*. Ale ważny jest w nich nacisk położony na plastyczne uchwycenie przedmiotu. Język jest instynktowny, forma przeładowana zdaje się pękać pod ciężarem stłoczonej wizji. Staje się widoczna rozbieżność między bezpośrednimi wrażeniami poety a ich estetycznym przetworzeniem. Spotykamy silne motywy erotyczne. Poeta szuka łączności z Verlainem, Jiménezem i Debussym. Chodzi ścieżkami poetów andaluzyjskich. Gromadzi obrazy, które wejdą do jego stałych akcesoriów poetyckich.

Zapowiedzi dzieła wielkiego, rozrzucone po poezjach lat dwudziestych ziściły się w romancach, które ukazały się pod tytułem *Romancero Gitano*. Romanca jest najbardziej charakterystycznym rodzajem poezji hiszpańskiej. Najwięksi poeci Złotego Wieku z Lope de Vegą i Góngorą na czele dołączyli do potężnego chóru anonimowych twórców romanc. U romantyków w tej dziedzinie poezji celują Duque de Rivas i Zorilla. Zasługą Lorci jest przystosowanie tradycyjnej formy romanc do wymogów współczesnych czasów i nadanie jej swoistego zabarwienia. "Romance cygańskie" są odbiciem blasków i cieni cygańskiego świata. Ukazują lud upośledzony, żyjący poza nawiasem społeczeństwa, a posiadający starą, prymitywną

tradycję. Los Cygana jest okrutny. Na jego drogę często pada cień policji.

Czarne, czarne są ich konie

i czarne, czarne podkowy,

plaszczce mają poplamione

od wosku i atramentu.

Ołowiane są ich czaszki

dlatego łzy nie uronią

Toczy nieustanną walkę z uciskiem, który mu niesie śmierć. Wolni królowie księżycowych nocy – Cyganie nigdzie nie znajdują spokoju. W imaginacji poety bohaterowie jego romanc przestrzegają swoistych zasad etyki arabsko-cygańskiej: historia męczeństwa św. Eulalii przemienia się w zmysłowy tryptyk czerwony od erotycznego symbolizmu. Biblijna historia Tamary i Amnona nabiera cygańskiego tła, donżuanizm pojawia się w “Niewiernej mężatce”. Z folkloru andaluzyjskiego, którego powierzchnię eksploatowali inni, poeta wydobył głębiej dotąd nieruszoną i stworzył syntezę motywów ludowych i swej artystycznej percepcji. Rzucił tym samym podwaliny pod poezję popularną, zarówno wśród smakoszy, jak wśród szerokiego ogółu.

Drogę, którą obrał w “Romancach cygańskich” wnet jednak porzucił. Nawracała ona do tego samego celu, a poeta w czas ocenił niebezpieczeństwo ugrzęźnięcia w kręgu ostatnich swych poezji.

Szukając nowych form i symbolu swych dążeń napisał dwie ody heksametrem. W pierwszej zbliżył się do kosmicznej wizji malarskiej Salvadora Dali. “Oda do Najświętszego Sakramentu” jest śladem poszukiwania religijnego aspektu swej idei estetycznej. Poeta widzi Boga malutkiego, bezbronny tysiąc razy zabitego i ukrzyżowanego nieczystym słowem spoconego człowieka. Świat jest areną zbrodni i okrucieństw. Sakrament Ołtarza jest światłem w tej ciemności. „Bo znak Twój jest kluczem do niebieskich pól”. W Eucharystii “niezmiennym sakramencie miłości i

dyscypliny” poeta szuka otuchy i wzoru, kiedy zaczyna go opadać bezwola, artystyczne niezdecydowanie i rozpacz. Poeta czuje, że jakiś cykl się skończył, że musi znaleźć nową odskocznnię dla swej muzy.



Federico Garcia Lorca w 1930 r.

Ten konflikt wewnętrzny, depresja, chęć ucieczki od łatwego powodzenia i zazdrość rywali, sprawiły, że poeta postanowił wyjechać do Stanów Zjednoczonych ze swym nauczycielem i przyjacielem, Fernandem de los Rios. Zetknięcie się tak wrażliwego umysłu z Nowym Światem nie było bez następstw. Zapisawszy się na uniwersytet Columbia, poeta dzięki swemu trubadurskiemu talentowi i osobistemu czarowi wnet skupił krąg wielbicieli wokół siebie. Przez pewien czas towarzyszyli mu starzy hiszpańscy przyjaciele. Dawał nawet wykłady o poezji. To wszystko jednak nie potrafiło złagodzić wstrząsu, jakiego doznał na widok Ameryki, usymbolizowanej w Nowym Jorku. Dżungla mechaniczna napawała go strachem. Nie mógł zbadać uczuć jednostek, gdyż nie znał języka, ale czuł tłumy, ich tanie zabawy, ich pot, ich chciwość i ich cierpienie. Dokoła widział przekupstwo i śmierć, istny obraz apokaliptyczny. Cyfry i przepisy rządziły zdehumanizowanym światem, nie było nadziei, bujne życie okazało się marazmem, wykoślawieniem, degradacją. Poeta był “pulssem zranionym”, nie czuł się w Nowym Jorku “ani poetą, ani człowiekiem ani liściem”. W tej topieli szukał deski ratunku, czegoś stałego i znalazł stały ląd w osobie Murzyna z Haarlemu, człowieka statycznego w dynamicznym świecie. Wziął go za symbol nienawiści i buntu przeciw fałszywej cywilizacji miasta. “Spali synowie Chrystusa” wołał widząc wegetowanie rasy zgłodniałych i poniżonych ciał. W takiej

atmosferze powstał nie wydany za życia autora tom "Poeta w Nowym Jorku". Aby dobitniej wyrazić odrazę i wstręt, posłużył się metaforą surrealistyczną. Jest to gąszcz nieuporządkowanych słów, niedokończonych obrazów, nad którymi bieleje widmo śmierci – mściciela, który zniszczy okrutne, bezduszne miasto.

Kobry będą syczeć na górnych piętrach

A pokrzywy rozsadzą podwórza i tarasy

Gięda będzie piramidą porosłą mchem

A za karabinami przyjdą powoje

Patrząc na zgubione masy widział, że w Hiszpanii mimo kastowego ucisku wielu wieków nie zdołano złamać indywidualnego stylu życia. Ze szczytu drapacza chmur Chryslera wołał do Rzymu o sprawiedliwość dla ludzi. W końcu zwrócił się do Walta Whitmana, jako do jedyne go człowieka, którego rozumiał. Masom zaś kazał podnieść takie wołanie o powszedni chleb, któryby rozsadziło bezduszną strukturę świata.

Na krótko przed śmiercią Lorca przygotował do druku zbiór poezji, który nazwał "El Divan del Tamarit". Weszły w jego skład gazy i kasydy opiewające uciekające piękno zmysłowe stworzenia i świata. W nich również poeta śpiewa miłość odcielesnioną w wierszach tkanych z obrazów najdelikatniejszych. Chociaż obracał się w atmosferze swych wielkich arabskich poprzedników, nie pożyczał od nich i nie trawestował ich poezji. Wydoskonalił swój schemat obrazowania poetyckiego tak dalece, że potrafił oryginalnie malować harmonijne wizje ocierające się o splendor liryki Arabów i plastyczność przyrody Góngory.

Za wybitny utwór poetycki Lorci uchodzi "Tren na śmierć Ignacja Sancheza Mejiasa". Element liryczny zespolił się tu z balladowo-narracyjnym. Cygańskie zawodzenia przewijające się przez lament, potęgują wrażenie. Jak żałobna inkantacja brzmi powtarzany w pierwszej części motyw: „O piątej po południu”, a w drugiej: „Nie chcę na nią patrzeć”. Poeta wzywa wszystkie rzeczy białe, aby zakryły krew na piasku areny. Na widok wystawionego ciała powie, że nie ma wyjścia ani ucieczki, że nawet morze umrze. Ale duch zmarłego będzie nieśmiertelny.

Efekt poezji Lorci polega w dużej mierze na „dzwonieniu” słów. Musimy pamiętać, że poezja jego rosła i żyła w recytacjach przy dźwiękach gitary albo fortepianu, kiedy autor, epigon trubadurów, raczył żywym słowem swój krąg przyjaciół i wielbicieli. Zanim zdecydował się na wydrukowanie swych pieśni, były one już szeroko w Hiszpanii znane i śpiewane. Zapalały wyobraźnię narodu, który lubuje się w wyszukanych przenośniach, w karkołomnych figurach językowych i dźwiękowych, które tłumaczom sen z powiek spędzają (a przynajmniej powinny) jak np:

En la noche platinoche

Noche, que noche nochera.

Odgrodzony od hermetycznych sekt literackich lud łaknął poezji sobie bliskiej, zrozumiałej, jak to było w XVI wieku. Lorca stał się poetą narodowym w najszerszym tego słowa znaczeniu. Przemówił do imaginacji poetyckiego narodu głosem mocno zabarwionym zmysłowością, zaprawionym ironiczną obserwacją, pełnym wytrysków podświadomości, ambarasującą obfitością obrazów. Zbliżył się do ludzi czerpiących siłę z ziemi, stworzył regionalną egzotykę na skalę uniwersalną. Stał się poetą siły, krwi, hardej walki ze śmiercią i losem, zaczerpnął z wierzeń i obrzędów magicznych, pod swoją opiekę wziął ciemieżonych i ciepących w cichości. Jako prawdziwy syn Granady ukochał miniaturowość. Niewątpliwie zakres jego poezji nie jest bogaty. Szybkość, z jaką talent jego zdobył sobie uznanie, nie pozwoliła poecie dojrzeć wewnątrz, pogłębić się duchowo, dojrzeć na dnie duszy tego, co jest głęboko ludzkie i wieczne. Struny jego lutni nie są liczne, zasięg uczucia ograniczony. Udało mu się natomiast przeszczepić na tradycyjne formy tętno i rytm teraźniejszości.

Część II ukaze się we wtorek 28 marca 2017 r.

Wiersze z tomiku „Sto par bytów”



Marta Tomczyk-Maryon, fot. Renata Nowak

Marta Tomczyk-Maryon

Urodzona w 1968 r. w Krakowie. Poetka, prozaik, blogerka i dziennikarka. Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie obroniła również doktorat. Od roku 2010 mieszka w Norwegii.

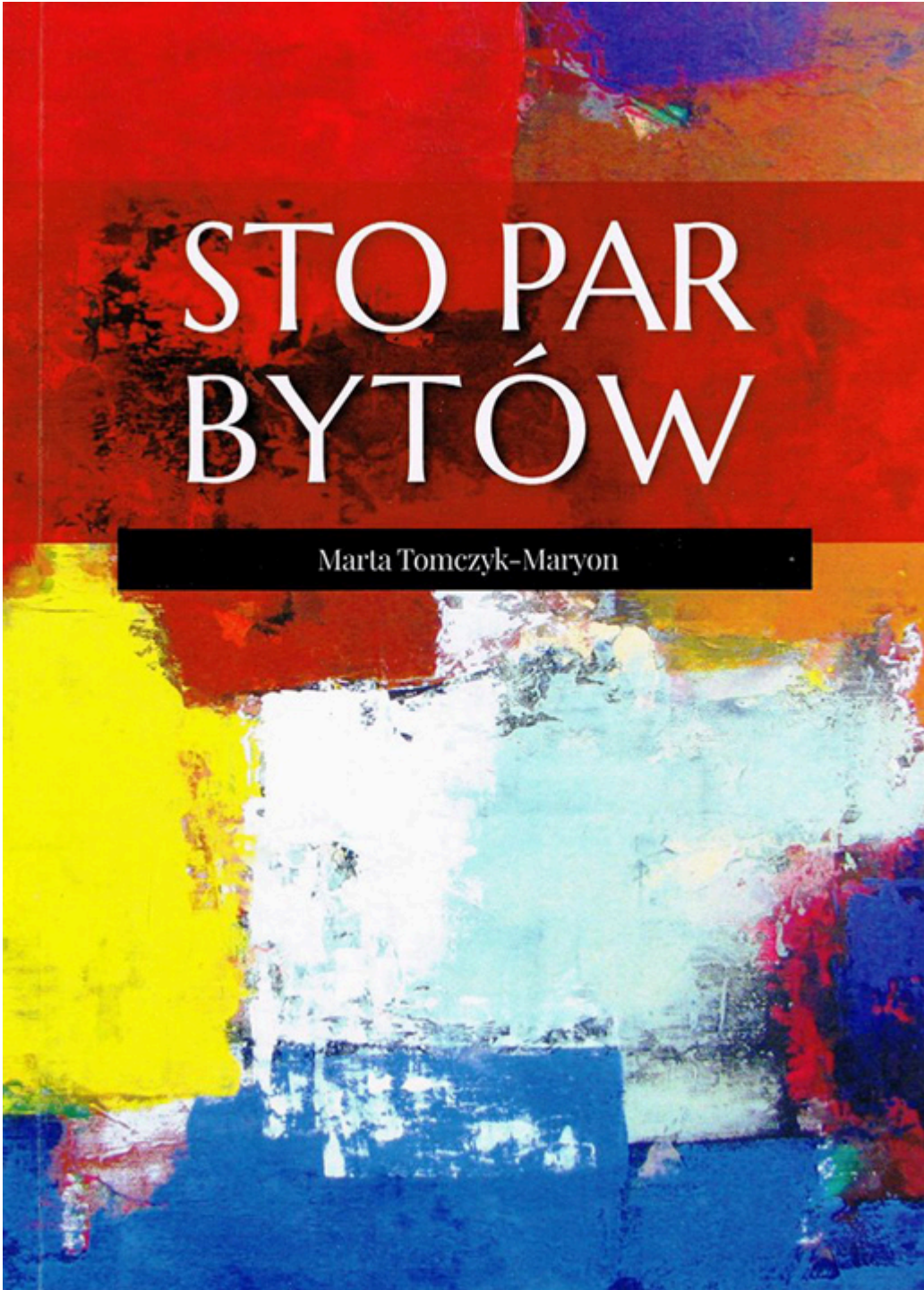
Autorka książek edukacyjnych m.in. *Jak czytać wiersze? (Interpretacje wierszy)* (2006) oraz biografii *Wyspiański* (2009).

Pisuje horrory i opowiadania kryminalne (dwukrotna laureatka konkursu na opowiadanie Międzynarodowego Festiwalu Kryminału we Wrocławiu, jeden z

nagrodzonych tekstów ukazał się w: *Zmyślone kroniki kryminalnego Wrocławia. Czas zbrodni*, 2015).

Prowadzi dwujęzyczny blog „Trolle i misie” poświęcony skandynawskiej literaturze dla dzieci i młodzieży <http://trolleimisie.blogspot.no/>

W 2015 zdobyła I nagrodę w konkursie poetyckim im. Kazimierza Ratonia. Rok później ukazał się tomik *Sto par bytów*.

An abstract painting with a vibrant color palette. The top half is dominated by a large, textured red area. Below this, there are horizontal bands of yellow, white, and light blue, interspersed with darker blue and red strokes. The bottom section features a solid blue band. The overall style is expressive and gestural, with visible brushstrokes and layered colors.

STO PAR BYTÓW

Marta Tomczyk-Maryon

Marta Tomczyk-Maryon

Kraj/landet

urodziłam się w kraju

którego nikt nie lubi

(głównie jego mieszkańcy)

porzuciłam go

aby zamieszkać w kraju

który lubią wszyscy

(a nawet jeśli nie to udają miłość do niego)

dawny kraj jest jak stara panna

zdziwaczała

w wiecznych w pretensjach

lękach przed zmianami

(może za dużo ich przeżyła?)

w niemodnych ubraniach z lumpeksu

hodująca cebulę na parapecie

oszczędzająca wodę/światło/gaz

nowy kraj jest jak ciotka wiecznie młoda

która wyszła od kosmetyczkofryzjerkofizjoterapeutki

w najnowszej kolekcji DolceGaliano i wszystkich świętych Lady Gaga

w drodze na wakacje allinclusiv na wyspy szczęśliwe
nowej ciotce wszyscy nadskakują
śliniąc się do jej wypchanego portfela

od dłuższego czasu dręczy mnie wątpliwość:
czy zamieszkałam u właściwej ciotki?

Niedoskonałość

tłuste włosy (*znowu wrócił nad ranem*)
usta niepomalowane (*nienawidzę tej pracy*)
pognieciona spódnica (*dłaczego to właśnie ona zachorowała?*)

idealna alabastrowa cera (*korektor fluid puder róż*)
kurtka z cielejącej skóry w kolorze głębokiej czerwieni (*kolekcja wiosenna*)
paznokcie jak błyszczące migdały (*manicure azjatycki i żadnych myśli*)

niedoskonałość

kontra

doskonałość

bliżej mi do tej pierwszej

rozczyła mnie

dzięki niej jestem rzeką która łagodnie płynie środkiem lasu

Autorzy amerykańskich powieści kryminalnych

autorzy amerykańskich powieści kryminalnych walczą o wysokie nakłady

które zapewnią im codzienną szklaneczkę whisky

lub wysokoenergetycznego koktajlu z ekologicznej uprawy owoców goji

(zależnie od preferencji seksualnej i wyznaniowej)

piszą:

zgodnie z notowaniami wiodących dzienników literackich

zapotrzebowaniem

sumieniem (niepotrzebne skreślić)

wydają:

jedną książkę rocznie

i kilka opowiadań

udzielają:

wywiadów w pismach dla pań i panów

siebie (nielicznym)

mają:

domy na przedmieściach

dobrze odżywione koty i dzieci

żony odessane: z tłuszczu/cellulitu/brzydkich zapachów (nic nie skreślać)

młodsze kochanki

i pryszczki na dupie od ciągłego siedzenia przy komputerze mimo designerskich foteli

które jednak powodują odsiedziny i koleiny

te ostatnie są szczególnie niebezpieczne

bo można z nich wypaść

więc ta nieustanna

UWAGA

skupienie

ciągłe śledzenie notowań

gdy tu trzeba śledzić mordercę

który już na trzeciej stronie pomylił drzwi

i zamiast zmierzać do mieszkania nastoletniej piękności która miała 1600 kochanków

wali do byłej zakonnicy, która nie spała z nikim

jeśli nie liczyć kota

i kto do cholery będzie chciał czytać o morderstwie choćby najbardziej wyrafinowanym (czy ktoś już wykorzystał drylownicę do wiśni?) popełnionym na byłej zakonnicy

autorzy amerykańskich powieści kryminalnych czasem wypadają z torów
ale na szczęście mają na tyle zdrowego rozsądku
aby wrócić (na czwartej stronie) i zamordować nastoletnią dziewczynę
a nie porządną kobietę
i kto do cholery pisze ten wiersz?
kto się tu wpięprza na piątej stronie?
cały czas trzeba być czujnym
bo ktoś może się podkraść
okraść z pomysłu
na przykład jakaś nieznana polska poetka mieszkająca w Norwegii
a gdzie to w ogóle jest
i w jakim swahili tam mówią?

Emily Dickinson

zdobyła drugie miejsce w konkursie wypieku chleba
źródła nie podają co było nagrodą
ani jaki rodzaj chleba upiekła
nie wiemy również czy była niepokieszona
że nie zajęła miejsca pierwszego
ale skoro nie dbała o brak rzeczy mniejszych

może nie miało to dla niej znaczenia

dziewczyna w jasnej sukience

z rękami oblepionymi ciastem

stoi nad wielką misą

w której rośnie coś

niepojętego

- *Emily, Emily* - krzyczy Lavinia - *obudź się, wszyscy już wkładają swoje chleby do pieca!*

Sant Tomas

skały w kolorze ochry

poruszająca (się) skorupa morza

mężczyzna patrzy na kobietę

dotyk(a) jej ciała

ona ma na sobie zielone bikini,

ciekawe czy będzie to pamiętał za dwadzieścia lat?

(pytam ją...)

pytam ją

czy teraz

kiedy przemieniła się w ptaka

czuje się lepiej

to ostatnie stadium rrakka-rrakka- skrzeczy

i powoli rozkłada skrzydła

(jeszcze się do nich nie przyzwyczała)

jej mąż mówi że zbuduje dużą klatkę

pokazuje projekt

ona w tym czasie przyciska swoją ptasią głowę do siatki z przezroczystych sznurków

która wisi na drzwiach kuchni

(może wyrzucają w niej słoiki?)

wkrótce będzie musiał to robić sam

(spotkałam piękną kobietę...)

spotkałam piękną kobietę
która zmieniła swoje życie
moja dusza usychała - powiedziała

brzoza zapuszcza korzenie głęboko
potrzebuje wody i gleby
(Kawkowo, 16.07. 2014)

Sto par bytów

raczej nie jestem zainteresowana kupowaniem
posiadanie stu par butów przeraża mnie
(czy to nie tak jakby posiadać sto par bytów?)

rzeczy wydają się nachalne
sukienki wieczorowe które krzyczą:

weź mnie!

wejdź we mnie!

uciekam do mysiej dziury
przed milionem by(u)tów

które każdego dnia rozprzestrzeniają się
zdobywając coraz większą połąć świata

na koniec wszyscy będziemy musieli wynieść się na Marsa albo inną Wenus
a wystarczyło ich nie wpuszczać

Jestem w czasie niebyłym

... i jestem w czasie niebyłym
wchodzę przez wiele bram do ogrodu

na tej ławce siedziała moja matka (krakowskie Planty rok 1967)
i babka (Gorlice rok 1936)

obrazy z dawnych czasów nie płoną
bramy nie zamykają się
i nawet groby otwierają się szeroko
przyjaźnie

Jan Darowski - poeta nieznany?

*Szkoda, że czytelnicy krajowi nie znają ani nazwiska Jana Darowskiego,
ani wielu innych poetów piszących poza krajem.*

Czesław Miłosz, *Gorzki wiersz,*
„Tygodnik Powszechny”, 14.09.2003

Urszula Iżycka



Jan Darowski

Literatura emigracyjna - po boomie pod koniec lat osiemdziesiątych i początku lat dziewięćdziesiątych - ulega stopniowemu oddaleniu (w sensie dosłownym i przenośnym) i zapomnieniu. Oprócz kilku od lat uznanych nazwisk twórcy emigracyjni pojawiają się na rynku wydawniczym i w czasopismach sporadycznie. A może faktycznie - tak jak pisze Miłosz - *szkoda, że czytelnicy krajowi nie znają [...] wielu [...] poetów piszących poza krajem*. Jednym z tych Wielkich Zapomnianych, którego nazwisko przywołuje Miłosz w *Gorzkim wierszu*, jest - zmarły w 2008 roku - Jan Darowski. Był on poetą - jak określiła Maria Danielewicz Zielińska - o *niemal powieściowym życiorysie*.^[1] I ten właśnie życiorys, stwarzający kompleksy, ale także wyzwalający świadomość artystycznego statystowania historii, sprawił, iż jego poezja jest pełna pesymizmu, jest przestrzenią złożonych wyborów, nierozwiązywalnych napięć. A historia jest okrutna, nie liczy się z ludźmi, narodami,

czasem. Jej przerażających wyroków Darowski doświadczył w swoim życiu kilka razy. To ona zaważyła w sposób dramatyczny na życiu i twórczości poety.

Urodził się w Brzeziu na Górnym Śląsku w 1926 roku. Swoją edukację rozpoczął w Szkole Graficznej w Katowicach. Tam też, po wybuchu wojny, opowiadając się po stronie polskości, zaangażował się w ratowanie polskich książek, ale historia sprawiła, że w 1944 roku został wcielony do Wehrmachtu i wysłany na front francuski. W trakcie bitwy o Normandię przeszedł na stronę aliantów i wstąpił do polskiego wojska. Do końca wojny walczył w 1 Dywizji Pancerniej, a pod jej koniec został instruktorem w Szkole Taktycznej w Catterick. Od 1946 roku przebywał w Anglii, mając się różnych zajęć, często dalekich od jakichkolwiek związków z literaturą. Wszystkie te okoliczności sprawiły, że dopiero w 1951 roku zdał w Londynie maturę. Marzył o podjęciu studiów filozoficznych, jednak ze względów finansowych stało się to niemożliwe. Przez długi okres w dzień pracował jako zecer, był także kontrolerem w angielskiej fabryce broni, natomiast nocami pisał, tłumaczył, uzupełniał swoje wiadomości. Jest autorem dwóch zbiorów poezji: *Drzewa sprzeczki* (Londyn 1969) oraz *Niespodziewanych żywotów* (Londyn 1990). Tłumaczył też na język angielski polską poezję, zdobywając opinię jednego z lepszych tłumaczy. Przy tym warto podkreślić, że wszystko, co osiągnął jako poeta, krytyk literacki i tłumacz było wynikiem jego samokształcenia i ogromnej wrażliwości.

Do przedwojnia oraz okresu wojny i pierwszych wyborów - wyborów narodowości, języka, swojego miejsca w społeczności, zagubienia w świecie - powraca często z ironią, a trochę też z rozgoryczeniem, w swoim wierszu *Kulturkampf*:

Od chłopiństwa niemal

mieszka za granicą

w ojczyźnie Szekspira

i pisze po polsku -

co się za tym kryje?

To może:

Trzydzieści lat temu

ktoś go w twarz uderzył

za kilka słów polskich

a on mu nie oddał

I wcale nie dlatego

że przed tamtym stchórzył

a tylko bo tamten

co miał twarz jak gówno

Goethem ją zasłonił!

Jednak jego nazwisko przywołuje się najczęściej w kontekście „kontynentowców”, obok Buszy, Czaykowskiego, Czerniawskiego, Ihnatowicza, Sity, Śmieji, Taborskiego. W grupie *Kontynentów***[2]** pojawił się w 1958 roku za sprawą Bolesława Sulika, który był – jak mówi sam Darowski – jego *literackim ojcem chrzestnym*.**[3]** Ten – jak wspomina Florian Śmieja – *oryginalny poeta i doskonały krytyk wniósł świeże, odważne spojrzenie, niebanalną myśl, wiele serca oraz gruntowną znajomość warsztatu drukarskiego*.**[4]** I od „pierwszych dni” stał się też głównym – obok Czerniawskiego – krytykiem „kontynentowców”. W przeciwieństwie do najczęściej pisanych pozytywnych recenzji lub omówień twórczości członków tej samej grupy, obaj poeci mieli bardzo krytyczny stosunek do siebie i swoich przyjaciół. Florian Śmieja wspomina po latach: [Darowski] *był odważny na tyle, że potrafił powiedzieć od siebie sporo rzeczy krytycznych, bardzo nowych i oryginalnych. Miłosz zawsze chwalił wypowiedzi Darowskiego*.**[5]**

Pierwszy tom jego poezji – *Drzewo sprzeczki* (Londyn, 1969) – poprzedziła,

przyznana mu w 1968 roku, nagroda im. Tadeusza Sułkowskiego. Tomik ten składał się przede wszystkim z wierszy drukowanych w kwartalniku *Oficyna Poetów*, w Chmielowcowych[6] *Wiadomościach* i w paryskiej *Kulturze*. Powstał on po długim wahaniu poety, który nie mógł zdecydować się na wydanie swoich rozproszonych po czasopiśmie, tekstów. Niewątpliwie jedną z przyczyn tego była nieufność do języka, ale także świadomość ograniczenia możliwości poznawczych człowieka.

O wartości poezji autora *Drzewa sprzeczki* świadczy przede wszystkim ciągle poszukiwanie nowego wymiaru świata, ale też dążenie do poznania prawdy o człowieku, jego usytuowaniu w rzeczywistości, w której staje się on i podmiotem, i przedmiotem. Darowski formułuje wiele istotnych pytań aksjologicznych, świadomie zawieszając je w próżni. Podmiot liryczny, podporządkowany prawom biologicznym i mechanizmom społecznym, usiłuje odnaleźć siebie, swoje emocje i uczucia.

Tragizm człowieka współczesnego, poczucie osamotnienia, wyobcowania, polskość, a wreszcie miejsce Polaków na emigracji, w różnym nasileniu, pojawia się u Darowskiego bardzo często. Poeta w liście do Jana Wolskiego pisze: *gadka, że w końcu pisuje się dla jednej czy kilku osób, nie jest na emigracji gadką pustą. Już sama nasza konieczność jest taka, z rezultatami bardzo pozytywnymi i bardzo negatywnymi. Zależy jak u kogo.*[7] Dramat ten, wynikający z buntu przeciw historii, przeciw sytuacji, która wymusza pewne wybory, postawy, wpływał zarówno na życie poety, jak i na jego twórczość, począwszy od problemu języka, a skończywszy na wyborze poetyki.

O swoich „przygodach z językiem” Darowski, podobnie jak inni poeci „Kontynentów”, mówił wiele razy. Problem ten pojawiał się często, zarówno w wypowiedziach na łamach pisma, m.in. w niezmiernie ważnej dyskusji w 1960 roku, w której udział wzięli: Czaykowski, Czerniawski, Darowski, Ławrynowicz, Śmieja, jak i w poezji. Celem dyskusji, która w dużej mierze poświęcona została przedstawieniu obrazu indywidualnych kontaktów z językiem polskim, była próba odpowiedzi na pytanie: *czy mamy szansę przeżycia jako pisarze w języku polskim? W tym kontekście wręcz dramatycznie brzmiały ich wypowiedzi. Darowski wówczas zauważył: Język [...] nieoparty na konkretach, na osobistym doświadczeniu, stanie się wysoce oderwany, bez zdolności regeneracyjnych - skamienieje. To niestety, odnosi się i do wielu z nas*[8] W podobnym tonie brzmi jego wiersz *Wieczne póro/Fountain pen*:

W języku polskim

Pióro to mam wieczne -

W angielskim byłoby fontanną

Piękną fontanną!

Lecz chyba woda czymś poczerwieniona

By mi z niej tryskała

A nie moja krew

Na innych historycznych kołach

Jadą wozy naszej wyobraźni

I nie da się przesiąść wolny od bagażów

Nie da z siebie zleźć

Dalej tamte koła

We krwi nam się kręcą

Dla wszystkich biorących udział w dyskusji językiem „naturalnym”, „pierwszym” był język polski. Starsi, tak jak Darowski, urodzeni między 1925 a 1929 rokiem[9], przyjechali na Zachód w pełni już ukształtowani, zakorzenieni w języku i kulturze. Jednak i oni, przed przybyciem do Anglii, przechodzili okresy ograniczonego kontaktu z polszczyzną, stąd tak wiele w ich wypowiedziach wątpliwości i niepewności. Ihnatowicz po latach wspomina: *To, że ja i inni z mojego pokolenia na emigracji pisali po polsku, płynie w dużym stopniu z tego, że język domu i dużej części naszej edukacji przeduniwersyteckiej był polski. Tkwiliśmy więc mocno w kulturze polskiej. O ile mi wiadomo, byłem pierwszym w tej grupie, który publikował wiersze też po angielsku. Powodem pisania wierszy angielskich - jak wspomina poeta - była po prostu chęć, by znaleźć miejsce w literaturze „kraju osiedlenia”, [...]. A także coraz większe zadomowienie w języku angielskim.***[10]** O odchodzeniu od

języka „pierwszego” i pojawiających się coraz częściej rozterkach pisze Darowski w wierszu, o jakże wymownym tytule – *Nie znam ojczystego języka (Z wieczorów autorskich)*:

Moje jak żywe obrazy

ściany mi odsyłają

Mam się (czy siebie) powiesić?

Niejasne

płynie szmer po sali –

w sercu echa nie budzą

czego ten człowiek chce?

Jeść! Krzyczę

Na co mi jeden stary gwóźdź programów:

Myślisz to zrozumie?

Naucz się po polsku

Jeść tutaj

mówi się: Honor

Ojczyzna

Bóg!

To pragnienie „zadomowienia się” niewątpliwie sprawiło, iż bardzo wcześnie zaczął pisać w języku angielskim. Swój pierwszy wiersz angielski napisał już bowiem w roku 1949, i anglojęzyczną twórczość kontynuował przez pięć lat. Jak powiedział

podczas dyskusji o języku, *pisałem po angielsku i obracałem się w środowisku podobnie usposobionych młodzieńców, Anglików, w Londynie. Nie drukowałem nic, bo chciałem wyjść „gotowy”.***[11]** Może właśnie ta postawa sprawiła, że obecnie Darowski jest uważany za jednego z najlepszych tłumaczy polskiej poezji na język angielski.**[12]** Za najlepszego tłumacz polskiej poezji na język angielski uważał go także Kazimierz Wierzyński. Adam Czerniawski wspomina, iż poetę przez wiele lat dręczył problem wyboru języka: *dobrze pamiętam nasze rozmowy kiedy Darowski zastanawiał się, czy nie przetrzucić się na angielski. Ten pomysł bardzo mu się podobał. Bo dawał on do zrozumienia, że polska poezja jakoś mu nie wychodzi.***[13]** Kilkakrotnie Darowski wyrażał również przekonanie, iż w wielu dziedzinach, w porównaniu z językiem angielskim, język polski jest niższy intelektualnie, mniej precyzyjny i klarowny akustycznie (*te pretensjonalne, mało myślące szczebioty*)**[14]** oraz jest zbyt retoryczny: *wszędzie kładzie nas nasz język – niski pułap metafizyczny jego rzeczowników, jego szczęki krusząca polisylabika, nadająca się do wyższych operacji myślowych jak młockarnia do muzyki Mozarta.***[15]** Na tę wypowiedź zareagował Miłosz, pisząc, iż *ktoś, kto jak Darowski musi w życiu codziennym ciągle przetrzucać się z angielskiego do polskiego i odwrotnie, jest wyczulony na niektóre skłonności polszczyzny przez ludzi w Polsce rzadko dostrzegane i sądu jego nie trzeba lekceważyć.***[16]**

Jednak, jakby wbrew samemu sobie, Darowski pisze w języku polskim. Pomimo iż język młodości, język utraconej ojczyzny nie jest językiem codziennym, a po kilkunastu latach ograniczonego z nim kontaktu łatwiej wypowiada się w języku angielskim (*Wieczne pióro/Fountain pen*), jednak okazuje się, że to w nim może wypowiadać swoje najbardziej skryte myśli. O tym wymuszonym przez rzeczywistość bilingwizmie „kontynentowców” pisze w swoim dzienniku Witold Gombrowicz: *Ich angielskość tłumi, onieśmiela ich polskość. Ich polskość nie pozwala angielskości, by się w nich wszczepiła. Niepospolicie trudne jest ich zadanie, prawie karkołomne – tak skombinować te dwa bieguny, żeby z nich powstała elektryczność rozwiązująca język.***[17]**



Ks. Jerzy Sikora, Czesław Bednarczyk, i Jan Darowski w drukarni Krystyny i Czesława Bednarczyków w Londynie, fot. arch. Floriana Śmieji,

Darowski pisał nie dla czytelnika (nigdy o niego nie zabiegał, a druk kolejnych wierszy i tomików wręcz wymuszali na nim przyjaciele, m.in. Florian Śmieja), ale dla siebie, z jakiegoś nieokreślonego, wewnętrznego przymusu. Ta sytuacja wpłynęła na pewno na to, iż język ten był traktowany przez niego w sposób wręcz lingwistyczny, a każde słowo rozpatrywane w sposób szczególny, traktowane jak coś wyjątkowego i niezmiernie wartościowego. W jego utworach można zauważyć niesłychaną wprost oszczędność środków poetyckich: *Nie są to na ogół wiersze łatwe do recytacji, daleko im do gładkości, unikają najczęściej regularnej interpunkcji, nie dążą bowiem do retoryki, pozbywają się oczywistych chwytów „taktycznych” wierszoróbstwa, nie chcą być także traktatem - chodzi im raczej o pewną wieloznaczność, odzwierciedlającą skomplikowane przeżycia i nastawienia, dającą dystans, zmuszającą do współpracy czytelnika. [...] jedynie czasami całkowite odmetaforyzowanie prowadzić mogło do żywej metafory i jedynie odpięknienie wydawało się pozwalać na odkrycie prawdziwego kruszcu w brunatnej skale. [18]*

Ten niezwykle świadomy stosunek do języka wynikający – jak napisał Miłosz – z tego niesamowitego wyczulenia na niektóre skłonności polszczyzny, wpłynął niewątpliwie na podobieństwo jego tekstów do poezji Białoszewskiego, Herberta, Różewicza, Szymborskiej – twórców szczególnie wrażliwych na słowo. Sam jednak poeta odcinał się od utożsamiania go z ich poetyką. Nie chciał zresztą by łączono go z jakimikolwiek szkołami, manifestami, programami. Podkreśla swoją odrębność i „osobność”:

Ciągle mnie odsyłają do jakichś tam szkół

i przytułków swoich

żeby zaraz porozstawiać po kątach

za brak tożsamości

Już na oślej ławce

w szkole im. Mirona za to siedziałem

Aż zaróżowił się któremuś w głowie

Różewicz

lecz gdy pokazałem im język

poprawili: lingwista

Najchętniej to wypiąłbym się na nich

ale się boję

zaraz przyklepią temu jakąś etykietę

powiedzmy: poezja konkretna

albo nawet

awangardą zerzną ariergardę

Uroki wagarów

Obronę przed jednoznacznym przyporządkowaniem odnaleźć możemy również w *Wadze powagi*. Podmiot liryczny obawia się, iż raz określony, przypisany do jakiegoś kierunku przez *Bardzo Poważnego Krytyka*, któremu

Jeżeli [...] kiedykolwiek uda

przytroczyć do niej jeden z ciężkich

staroświeckich gratów na których on waży

to już z miejsca nie ruszę!

Jednak, wbrew temu, co napisał poeta, przed czym tak bardzo się bronił, można doszukać się pewnych wspólnych cech dla tych twórców. Trudno oprzeć się wrażeniu, że wynika to właśnie ze szczególnego podejścia do słowa, którego znaczenie poeci ci podkreślali zarówno w warstwie ściśle leksykalnej, jak i ikonicznej oraz metaforycznej, a także spowodowanego bardzo dla nich charakterystycznym oglądem świata, w którym ogromną rolę odgrywają przedmioty. [19]

Tym bardziej więc Darowski „bawi się” słowem, jakby próbował odpowiedzieć na pytanie, które stawia sobie w wierszu *Tylko słowa: Słowa słowa / cóż potrafią słowa?*, penetruje zawarte w nich możliwości znaczeniowe, fascynują go szczególnie wszelkiego rodzaju ekwiwokacje, homonimy, gry słów: *klucz jest od kluczenia i do wykluczenia* („Z psychologii klucza”); *na koturnach-nokturnach* („Na schodach”); *zaróżowił się Różewicz*; *awangarda-ariergarda* („Uroki wagarów”); *orient zdezorientowany* („Moje święcone”); *były strofy, antystrofy, katastrofy nie było* („Ikar”). Uderza w jego wierszach językowa prostota, czasami wręcz „chropowatość” podkreślająca nieufność wobec zastanej rzeczywistości, wobec współczesnej cywilizacji. Świat jest dla niego krainą ułudy, pustki, samotności, w którym nie ma miejsca na człowieka, na jego pamięć i marzenia. Bohater liryki Darowskiego broni

się więc ironią i stwarzaniem intelektualnego dystansu wobec opisywanych zjawiskach;

Bo oto nam ręce parzy

prastowiąński łój

z jego prazapachem łojowej świeczki

kopcącej się w pustej czaszce

z jego niestrawnością

preorganiczną

z jego zwojami tłustych zawilosci

o życiu

o śmierci

o destylacjach z niezapominajek

o zbawieniu w bursztynie

Orient

zdezorientowany

trochę turkot

trochę turban

piątego koła wozu Europy

Moje święcone

Niepewność dotycząca własnej twórczości towarzyszyła Darowskiemu przez cały

czas. Okazało się, że po wydaniu *Drzewa sprzeczeki* znów zamilkł na długie lata, a do rozterek natury literackiej doszły jeszcze dodatkowe, o których wspomina w rozmowie z Markiem Pytaszem:

*Życie mnie [...] wycofało z życia literackiego. Całe moje pisanie było zawsze na wąskim marginesie wolnego czasu po pracy zawodowej [...] Gdzieś około roku 1973 doszło nagle do jakby koniunkcji wszystkich krzywookich ciał niebieskich: kłopoty rodzinne i zawodowe, zdrowotne i z redaktorami, którzy „cenią śmiałość, niezależną myśl”, ale tylko w formie błyskotliwych komunałów.***[20]**

Sytuacja ta sprawiła, iż do 1988 roku Darowski niczego nie drukował i może trwało by to znacznie dłużej gdyby nie Florian Śmieja, który zaskoczony ilością wierszy *kiszonych w teczkach***[21]** zabrał kilkanaście z nich do kraju, gdzie wszystkie zostały wydane w *Odrze* i *Więzi*. Ten niewątpliwy sukces sprawił, iż już w 1990 roku pojawił się dość obszerny tom poezji noszący tytuł *Niespodziewane żywoty* będący nie tylko zbiorem wierszy z ostatnich lat, ale podsumowaniem całej twórczości poety.

Wszystko uczłowieczam / we własną świat ubieram skórę – słowa te mogą stać się swoistym mottem twórczości Darowskiego. To właśnie człowiek był dla niego centralnym punktem kultury, świata. To wokół niego, i w nim samym, tworzy się rzeczywistość. Poeta zdawał sobie sprawę, że nie może on istnieć poza czasem, poza historią, stąd tak wiele w tym tomie znów pytań o człowieka właśnie, o jego miejsce, pamięć, powinności, marzenia i troski. W takim widzeniu świata ważną rolę odgrywa poezja. Za jej pośrednictwem ujawnia się to, co najbardziej istotne, to, co ludzkie. W wierszu *Humanistą jestem* pisze :

[...] nie wierzę w cuda

wszystko wszystko na tym świecie

człowiek umie stworzyć

Bo jeśli umiał stworzyć tyle piekieł

jakieś niebo w końcu mu się uda

Człowiek, nawet tam, gdzie wydaje się być bezsilny, daleki od spraw współczesnych, bo *nie ma miłości w nakręcaniu świata (O tej porze dnia)*, i kiedy *wielkie rzeczy dzieją się na świecie on wojuje z wiewiórką (Wielkie rzeczy)* – to jednak prawie zawsze okazuje się pomostem wiodącym w stronę rozważań aksjologicznych, uniwersalnych. Poezję Darowskiego zdominowały determinanty ludzkiego wpisania w świat, którymi są naturalne ludzkie uczucia, ale także problemy eschatologiczne stawiające człowieka w obliczu śmierci i przemijania:

Na progu śmierci nie jest znów tak straszno

nie jest zbyt zimno ani zbyt gorąco

Na progu śmierci stoi się jak w wodzie

lżejszy o ciężar wypartego życia

Na progu śmierci stoi się najlżej

gdy nasze życie miało jakąś wagę –

i nie przynosi jej w worku jak złodziej

Na progu śmierci

Poeta zmuszony do poszukiwań swojego miejsca na ziemi zaczyna wątpić w sens swojej poezji pisanej *sam nie wiem dla kogo (Pióro)*, mając w języku polskim /pióro [...] wieczne, które w angielskim byłoby fontanną / piękną fontanną ! (Wieczne pióro / Fountain pen), a w konsekwencji przestaje wierzyć w sens swojej egzystencji. Przywołana postawa jest najwyraźniej widoczna w sytuacji wewnętrznego zagrożenia, gdy bycie emigrantem staje się niemożliwe do zaakceptowania, gdy nie można już powiedzieć, iż *język i życie są jedne (Język i życie)*. Odsłanianie zagrożeń wewnętrznej swobody jednostki jest jednym ze sposobów manifestowania duchowej postawy poety przejawiającej się buntem przeciwko światu faktów. Kondycja

wygnańca sprawia, iż jedyną obroną przed samotnością i wykorzeniem jest pamięć, wyobraźnia i język – istniejące poza „tu i teraz”, pozwalające przyjąć własny los i sprawiające, że staje się możliwe zachowanie swojej tożsamości.

Poezja Jana Darowskiego jest niezmiernie ciekawym zjawiskiem na tle literatury emigracyjnej i, myślę, iż warto jej poświęcić więcej uwagi. Niestety poeta zmarł w Londynie 4 lipca 2008 roku. Można mieć tylko nadzieję, że jego twórczość, zarówno poetycka, jak i translatorska, nie ulegnie zapomnieniu i doczeka się obszerniejszego opracowania.

[1] M. Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Wrocław, 1992, s.317

[2] O grupie „Kontynentów” napisano już wiele. Wyjątkowo wiele jak na grupę, która właściwie nigdy nie cieszyła się zbyt dużą popularnością. Kiedy spoglądamy wstecz trudno nie dostrzec, iż bardziej interesuje krytyków fenomen tej grupy niż twórczość poetycka jej poszczególnych członków. Na tyle jest to silne, iż wywołuje nieraz głosy sprzeciwu samych poetów, którzy po wielu latach pracy twórczej, wciąż są identyfikowani wyłącznie z początkami swojej literackiej działalności (zob. A. Czerniawski, *Krótkopis*, „Twórczość”, 12, 2000, s. 127-128). A przecież tych osiemnaście osób stanowiących trzon grupy, to, niewątpliwie, zbiór indywidualności – twórcy, którzy pełnię swoich możliwości twórczych osiągnęli wiele lat po rozwiązaniu „Kontynentów”. Grupa ta wydała wielu doskonałych poetów, ale też tłumaczy, którzy do tej pory promują, lub promowali, literaturę polską na Zachodzie, a literaturę anglojęzyczną w Polsce. Warto tu wymienić chociażby nazwiska Andrzeja Buszy, Bogdana Czaykowskiego, Adama Czerniawskiego, Jana Darowskiego, Janusza A. Ihnatowicza, Zygmunta Ławrynowicza, Jerzego Sito, Floriana Śmieji, Bolesława Taborskiego.

[3] *Rower jako wzór przyszłej literatury. Z Janem Darowskim rozmawia Marek Pytasz*, [w:] *Londyn – Toronto – Vancouver*, Lublin 1993, s. 65

[4] F. Śmieja, *Czekam na cud. Jan Darowski*, [w:] *Zbliżenia i kontakty raz jeszcze*, Katowice 2007, s. 171

[5] *O historii „Kontynentów” z pierwszej ręki. Rozmowa z Florianem Śmieją.*, rozmawiali Ewa i Marek Pytaszowie, „Odra”, 2, 1988, s. 20-24.

[6] Michał Chmielowiec był redaktorem londyńskich *Wiadomości* od 1966 roku do 1974

[7] Cyt. za S. Ożóg, *Zamki klucza. Rzecz o poetyckich wyobraźniach Jana Darowskiego*, [w:] *Poetycki Krąg „Kontynentów”. Artykuły i szkice*, pod red. Z. Andresa i Jana Wolskiego, Rzeszów, 1997, s. 159

[8] Ibidem

[9] Także Zygmunt Ławrynowicz, Florian Śmieja, Mieczysław Paszkiewicz, Bolesław Taborski, Janusz A. Ihnatowicz

[10] Cyt. za: Beata Tarnowska, *Między światami. Problematyka bilingwizmu w literaturze. Dwujęzyczna twórczość poetów grupy „Kontynenty”*, Olsztyn, 2004, s.124

[11] *Cena wolności? Dyskusja o języku...*, s. 7

[12] Zob. B. Czaykowski, *[Introduction to Poems of Jan Darowski]*, “Modern Poetry in Translation”, 1975, nr 23-24, s. 27

[13] Cyt. za: Beata Tarnowska, *Między światami...*, s. 125

[14] J. Darowski, *Kultura, dzieje, język*, „Wiadomości”, 1973, nr 1409, s. 2

[15] J. Darowski, *Z notatnika*, „Wiadomości”, 1972, nr 1385, s. 10

[16] . Cz. Miłosz, *Język, narody*, „Kultura”, 1973, nr 9, s. 8

[17] W. Gombrowicz, *Dzienniki 1957-1961*, Kraków, 1988, s. 281

[18] *Różnice między pokoleniami w literaturze na emigracji*, „Kontynenty - Nowy Merkuriusz”, 1960, nr 18-19

[19] Można wymienić tomiki: M. Białoszewskiego, *Obroty rzeczy* (1956), czy Z. Herberta *Studium przedmiotu*, (1961), wiersz Szymborskiej *Rozmowa z kamieniem*

[20] *Rower jako wzór....*, op. cit., s. 68

[21] *Ibidem.*, s. 72

<http://jandarowski.pl/napisano-o-darowskim/79-jan-darowski-poeta-nieznany.html>

Rymkiewicz



Jarosław Marek Rymkiewicz, fot. Przemysław Pokrycki, East News.

Florian Śmieja

Jarosława Marka Rymkiewicza spotkałem po raz pierwszy w Londynie, kiedy pracowałem na London School of Economics. Pamiętam wspólną kolację w restauracji uczelnianej, gdyż miałem akurat dyżur jako tzw. Dziekan Wieczorowy. Rozmawialiśmy, rzecz jasna, o literaturze hiszpańskiej, którą się wtedy interesowałem i z której zaczął tłumaczyć. Pragnął osiągnąć taką sprawność w języku hiszpańskim,

by móc przekładać poezję Góngory, którego widocznie uwielbiał. Jak wiemy, po różnych próbach wziął się odważnie za największego mistrza klasycznego teatru hiszpańskiego, Calderona(1600-1681).

O literaturę hiszpańską dopominali się nieco wcześniej twórcy teatru "Laboratorium" czując, że jej klasyka mogłaby się stać źródłem jeśli nie odnowy, to wzbogacenia polskiej sceny teatralnej. Odwiedzając w 1965 roku Wrocław spotkałem się z Jerzym Grotowskim i Ludwikiem Flaszenem. Po rozmowie z nimi pochopnie obiecałem spróbować przekładu jakiejś sztuki Calderona. W liście z 18.12.1965 Jerzy Grotowski ponaglał:

...z niecierpliwością oczekujemy na przekład „Wielkiego teatru świata” Calderona. Ale i co do innych tłumaczeń hiszpańskich, gdyby miał Pan coś godnego uwagi (zwłaszcza z okresu hiszpańskiego baroku) ucieszylibyśmy się z przesłania kopii przekładu. Powtarzam jednak - „Wielki teatr świata” - interesuje nas w stopniu zupełnie szczególnym.

A były to czasy w Polsce w zasadzie nie sprzyjające kanonowi literatury hiszpańskiej. Po śmierci znanych polskich iberystów, a raczej romanistów pracujących również na polu iberystyki, Władysława Folkierskiego, Stefanii Ciesielskiej-Borkowskiej, Karczewskiej-Markiewicz, a później Marii Strzałkowej, zabrakło chętnych do studiowania Calderona, zbyt mało atrakcyjnego dla pedagogów i studentów zachęcanych usilnie do zajmowania się postaciami i tematyką bardziej współczesną i chętniej widzianą przez miarodajne koła. Kiedy w roku 2000 w Katowicach odbył się zjazd z okazji rocznicy Calderona, jak na ironię urządzonego w okrągłej sali zbudowanej dla siebie przez dufną w swoją trwałość partię, wśród uczestników stawilo się kilkoro nagle nawróconych na proskrybowanego nieomal dawniej pisarza.

Także na scenach polskich, na których panowała w latach siedemdziesiątych posucha i szarość, pojawienie się Calderona było odświeżającą nowością. Ujawnił się w inscenizacjach nowy, a więc frapujący i pociągający teatr. Jego sprawca Rymkiewicz uważał przekładanie słynnego klasyka baroku jednocześnie za cenną naukę podstawowych reguł scenicznych, wprowadzania na scenę postaci, budowanie akcji. Nabywał rygoru, umiejętności opowiadania wielkich lekcji monumentalnego teatru. Potrzebował, przynajmniej do czasu, jego pomocy, aby wygłosić nurtujące go

w owym czasie kwestie.

Jego pierwszym wyzwaniem był dramat 'polski' „Życie jest snem”. Tłumacza fascynowała wielka potrzeba metafizycznego myślenia o świecie. Powstający tekst nazwał imitacją, bo przyświecała mu idea odtworzenia wielkiego dzieła, które w jego opracowaniu zaczęło wędrować po Polsce od 1969 roku przy wielkim wzięciu u publiczności. Nie wszyscy byli z tego w owych czasach zadowoleni. Calderon był postrzegany jako postać anachroniczna, związana ze scholastyką i hiszpańskim despotyzmem. Może nie było przypadkowe, że w całym dwudziestym wieku przed Rymkiewiczem jedynie „Alkad z Zalamei” został przełożony przez Ludwika Hieronima Morstina (Iwaszkiewicz w przedmowie: ...”chłop nieugięty i twardy, w którego spracowanych dłoniach gnie się grzeszna pycha występnego feudała”). Choć nie należy Morstinowi przypisywać wąskiej motywacji, dramat odpowiadał duchowi czasu i panującej ideologii, jego przekład trafił na sprzyjający zbieg okoliczności.

Z recenzji wynika jasno, że sztuka siedemnastowiecznego Hiszpana potrafiła jeszcze w Polsce wyzwać napięcia i obawy. Bohater Segismundo, czyli Zygmunt, musiał pozostać przy hiszpańskim imieniu, a jeden z przejętych recenzentów nawet napisał kilka razy “Sesigmundo”. Ze sceny wszakże padały odezwania typu: “bądźcie mądrzy Polacy”, czy “książę Moskwy nie będzie rządził w twoim kraju”. Sprawy stały się jeszcze pikantniejsze, kiedy ów zamaskowany “Sesigmundo” stanął na czele ludzi noszących mundury podchorążych z “Nocy Listopadowej”, sztandary białoszare z “Wyzwolenia”, a Rosaura zjawiała się w stroju Pallas Ateny. Scenografia dopowiedziała to, co nie mogło być powiedziane wprost.

Nie do wszystkich przemówiła imitacja Rymkiewicza, ale była klarowniejsza od starej, często nieporadnej wersji Boyego.

Wielkim powodzeniem cieszyły się również inne sztuki imitowane: “Księżniczka na opak wywrócona” oraz “Niewidzialna kochanka”. Natomiast “Kochankowie piekła” to już Rymkiewicza pożegnanie z Calderonem, dowolna konstrukcja eklektyczna i próba unowocześnienia Diabła.

Rymkiewicz w końcu zarzucił imitację, choć chwalił go za nią Ryszard Przybylski dowodząc, że przekład jest anihilacją tekstu, natomiast imitacja, jego wskrzeszeniem. On też oświadczył, że

poeta polski, który wprowadził Calderona w nasze życie, który uczynił z niego jednego z naszych współczesnych pisarzy, nagle ...stał się jego zaciekle wrogiem.

Już Kijowski widział bezzasadność tej deklaracji, a pewnie będą się nad nią zastanawiali hispaniści i teatrologi w przyszłości. Bo czyż istotnie mamy w "Kochankach piekła" do czynienia z "manichejskim hymnem na cześć szatana"?

Także farsa "Król Mięsopest" postrzegana jest przez niektórych jako polemika z Calderonem oferująca popularny melanz hispano-sarmacki.

Sukcesy więc, ale i nieporozumienia teatralne, brak zrozumienia niektórych inscenizatorów i krytyków, spowodowały ostateczne odejście Rymkiewicza do prozy. W wywiadzie skarżył się m.in. na nieszanowanie tekstów autorów sztuk:

...to co powstaje w teatrze, jest czymś zupełnie innym od tego, co się napisało samemu, a więc od mojego prywatnego, imaginacyjnego teatru, dla którego układam słowa...

Nie zadowalała go już też imitacja, szukał klimatu całkowitej swobody czerpania z materiału wcześniejszego, by go swoim talentem odnowić. Zarzucał sobie brak bezwzględności w obchodzeniu się z tekstem Calderona. Wytykano mu cudaczne gry językowe oraz wątpliwe amplifikacje.

Cokolwiek by powiedzieć o jego wieloletniej przygodzie z hiszpańskim dramaturgiem, to jeszcze w liście z października 1999 wspomina ten okres z nostalgią. Pisał do mnie:

Właściwie nikt się tym nie interesuje i nawet można powiedzieć, że to zainteresowanie, jakie budziły dwadzieścia lat temu moje przekłady, to jest jakiś ideał, teraz nieosiągalny - mimo. że jest wielu młodych ludzi znających język, jest ich z pewnością znacznie więcej, niż w latach naszej młodości. Ale uczą się, jak mi się zdaje, tylko z jakichś praktycznych, handlowych czy biznesowych powodów - nie po to, żeby czytać Calderona...

Powrócił też do pisania wierszy, choć tego właściwie nigdy nie zaprzestał. Pamiętam

jego wspaniałe czytanie we Wrocławiu z okazji odbierania w tym mieście nagrody "Odry".



Od lewej: Florian Śmieja i Jarosław Marek Rymkiewicz, fot. arch. F. Śmieji.

Kilkanaście lat temu Rymkiewicz zgiełk stolicy zamienił na spokój małego miasteczka. Odwiedziłem go kilka razy w Milanówku, gdzie jego ogród stał się nie tylko ulubionym miejscem pracy fizycznej, ale także wypoczynku i kontemplacji, zaś jego rośliny, drzewa oraz koty i inne zwierzątka stały się natchnieniem i ulubionym tematem specyficznej poezji.

Z myślą o jego poetyckich kotach opowiadałem mu o letnim domku, który wspólnymi siłami rodziny zbudowaliśmy nad Jeziorem Huron w kanadyjskiej prowincji Ontario. Wkopaliśmy przed domem do ziemi starą wannę i wpuściliśmy do niej rybki schwytane w jeziorze i pobliskiej rzece. Pod koniec sezonu przed nadejściem srogiej zimy nasze rybki wracają do rzeki nieco już podchowane.

Tę wannę stale odwiedzają żaby. Niektóre, z kijanek w wannie przeobrażają się w

żaby, inne przychodzą z zewnątrz znajdując namiastkę sadzawki i dogodne środowisko do polowania na owady.

Doniósłszy o zadamowionej żabie otrzymałem wierszyk z notacją:

...jeśli jak zapowiadałeś, napisałeś już swój wiersz do tejże żaby, to przeczytaj jej oba: zobaczymy jak zareaguje i komu przyzna wieniec - ten będzie poeta żabi laureatus. Koty na wiersze nie reagują - patrzą martwym okiem, trochę z lekceważeniem, a trochę - jakby się litowały.

JESIENNY WIERSZYK DLA PROFESORA FLORIANA ŚMIEJI ORAZ JEGO ŻABY MIESZKAJĄCEJ W WANNIE NAD JEZIOREM HURON W KANADZIE

Jak tam zdrowie twojej żaby

Czy już nie zamarzała aby

Nad Huronem gdy w zawiei

Stanął domek pana Śmieji

Wtedy żaba w twojej wannie

Będzie się oddawać sannie

Lub na łyżwach pląsać wkoło

(Żabie w wannie jest wesoło)

Gdy ją wyjmiesz w środku lata

Będzie żaba lodowata

Takie są kąpieli skutki

*Żaba - lecz z Zielonej Budki **

Październik 1999

** Zielona Budka – firma w Warszawie produkująca lody*

Odpowiedziałem niezwłocznie dumając przy okazji nad nieszczęsnym rymem „zawiei” i „Śmieji” (pisownia mojego nazwiska na moje życzenie), pokazującym mizerię polskiej pisowni, choć profesor Jan Miodek zapewniał mnie, że zanoszą się na rozsądną zmianę przepisów ortografii zwłaszcza dopełniacza rzeczowników zakończonych na – ja.

RIPOSTA PROFESOROWI JAROSŁAWOWI MARKOWI RYMKIEWICZOWI NA JEGO
KŁUSOWNICZY WIERSZ O MOJEJ ŻABIE

Hola Jarku czy ty aby

nie czepiasz się cudzej żaby?

W końcu w mojej żyje wannie

sprawując się nienagannie.

I nie wadzi Twoim kotom

ceniąc własny kąt i błoto.

Moja żaba nie ucieka

nie obawia się człowieka.

Nad wodą siedzi i marzy

czasem jej się coś przydarzy.

Lubi kiedy jej przyniosę

owada, konika, osę.

Choć udaje flegmatyka

w mig po nie do wody fika.

Lecz się chyba pogniewała

bo się ze mną nie żegnała.

Teraz kiedy dmą zawieje

dumam, co się z żabą dzieje

i czy zobaczę ją w lecie

bo się dziwnie w świecie plecie.